

KASZEBE

WYDANIE SPECJALNE NR 2 GDAŃSK-SIERPIEŃ 1957 R. CENA 2 ŻŁ

JAROSZ DERDOWSKI



18 i 19 czerwca br. w Wielu na Zaborach odbędą się uroczystości związane z odsłonięciem pomnika jednego z najwybitniejszych Synów Ziemi Kaszubskiej — Hieronima (Jarosza) Derdowskiego. Jarosz Derdowski był tym, który po raz pierwszy uderzył w serdeczną strunę ludowej poezji i wydobył z siebie uroczyste strofy poematów

zabarwionych dobrym, kaszubskim humorem. Był poetą — humorystą, wiernym kronikarzem Kaszub. Urodził się w roku 1852 w Wielu. Ojciec jego był rolnikiem, piastującym jednocześnie urząd sołtysa. Po ukończeniu szkoły podstawowej w rodzinnej wiosce, Jarosz wstępuje do gimnazjum. Ale żywe usposobienie i „fi-

fy“ splecione nauczycielom nie pozwalały na dłuższe zatrzymanie się w jednym miejscu, więc zaglądał kolejno do pięciu szkół, by wreszcie ukończyć gimnazjum w Olsztynku. Teraz zaczęła się walka o byt samodzielny. Chwyta się każdej pracy; był księgarzem w Poznaniu, nauczycielem domowym w dworach szlacheckich...

Pierwsze artykuły i opowiadania zamieszcza w latach 1876 — 1877 w „Gazecie Toruńskiej“ i „Pielgrzymie“. Z artykułów tych wynika, że naszego „Sowizdrzała“ głęboko bolał los Kaszub, że serdecznie troszczył się o swoją rodzinną ziemię.

Dwukrotnie podróżuje za granicę: w latach gimnazjalnych do Włoch, a w r. 1877 — do Francji. Wraca jednak i osiada w Toruniu, gdzie pod opiekuńczymi skrzydłami Ignacego Danielewskiego rozwija działalność literacką i publicystyczną. W Toruniu powstają jego najlepsze utwory, a więc: „O Panu Czorlińskim co do Pucka posece jachoł“, „Kaszube pod Widnem“, „Walek na jarmarku“, „Jasiek z Kniei“ i „Wrócanie żydów do Palestyny i wejście do obiecanej ziemi“.

Częste procesy sądowe i kary, będące rezultatem twórczości, powodują, że wyjeżdża on do Rosji. Ale i tam bieda zagląda mu do oczu, nie znajdując pracy ani w Kongresówce, ani w Galicji. Postanawia więc wyjechać za Ocean, by tam szukać pracy i szczęścia.

W roku 1885 Derdowski opuszcza rodzinną ziemię i udaje się do Ameryki Północnej. Początkowo osiadł w Detroit i tam redagował „Gazetę Narodową“, a następnie „Pielgrzyma Polskiego“. W roku 1886 zostaje redaktorem wychodzącego w Winonie — (stan Minnesota) „Wiarusa“. W dwa lata później nabył „Wiarusa“ na własność, redagując go aż do swojej śmierci w dniu 19 sierpnia 1902 roku.

Z dala od kraju, na obcej zamorskiej ziemi spoczęły prochy naszego pieśniarza, o którym Aleksander Majkowski pisał, że „...był (...) wesołym kosem, który posiada nu tę i smutną i wesołą, a przedrzeźniając, bawi przechodnia śpiewem i wesołymi gestami“.

ALEKSANDER MAJKOWSKI

* * *

To nie je na zódnyj planéce pisané,
Ze zdżiną Kaszube ze swiata nieznané,
Ze zdmuchną ze zemni nós wrodzi jak plewé,
Ze po nós nie bédze pamniatci, ni spiwé;
Ze zdżinie ta mowa, jak zdże kole płota
Na smierc litoscëwą nieznanó serota...
Ta mowa kaszubskó, co z biedziem sę czasów
Strojëla do nóte i morza i lasów! —
Więc zbudztaż sę gburów szlachetnéch tésace,
Co w herbach wodzyta turecci mniesące!
Obudztaż sę chłopé, wa cny syné Mszczuga,
Od jader na morzu, na lądze od pluga,
Co wartą nad morzem nabożnie i hardo
I morzó i zemni trzymóta sę twardo —
Wëcygnijta rękę i pomoc wóm stanie:
To jidą Mazurzé, Słqzócé Polanie...
Nóm jednó Ojczézna, i wiara, i dola,
I jednym nós pasem wbjimó niewola,
I jedno nós łączy w lud jeden ogniwo,
I jedno zakwitnie radosné nóm żniwo,
I jedna Ojczézna i Bogu nóm służba! —
Tak witóm sę z wami kaszubszi wasz —

DRUŻBA.

Tadeusz Bolduan



Ostatni akt tragedii?

NA mapie Pomorza Zachodniego bez trudu można odnaleźć zbliżone do siebie jeziora: Gardneńskie i Lebskie. Nad tymi jeziorami zachowali się ostatni Kaszubi słowińscy — najdalej na północny-zachód wysunięte resztki słowiańskiego ludu. Przed stu laty pisał o nich rosyjski uczyony, Aleksander Fiodorowicz Hilferding, że jest to lud dobroduszny, zupełnie nie zepsuty pod względem moralnym, odważny na morzu, bardzo pojętny. Przepowiadał też Hilferding, że za 25 lat nie pozostanie po Słowińcach śladu.

Najsilniejszą kolonię tworzyli Słowińcy w Klukach nad jeziorem Lebsko, otoczonych z wszystkich stron podmokłymi łakami. Dzielnicy Słowińcy nieźle sobie radzili w najcięższych latach rządów pruskich. Klukowianie posiadali smolczinian w rewołcie przeciwko pastrowi Edelbüttelowi, usiłującemu zatrzeć ślady słowiańskie w swej parafii. Znany jest pochod klukowian do Gardny, ażeby przepędzić stamtąd pastora - Niemca.

Przez długie lata Słowińcy w Klukach rządzą się częściowo własnymi prawami, wymierzonymi przede wszystkim w niemieckich osadników. Według dr F. Tetznera i G. Smólskiego do 550 mieszkańców Kluk w roku 1863 zaliczała się jedna rodzina cygańska, dwie niemieckie (nauczyciela i karczmarza) oraz kilka „odniemczonych“ rodzin Reinanów. Reszta to Słowińcy. W sprawach gminnych przyznawano przybyłym tylko połowę praw. W życiu społecznym gromady zupełnie izolowano osadników niemieckich. Godnym uwagi jest również fakt, że oddane Słowińcom do uprawy łąki lebskie nie zostały przez nich przyjęte, bo — jak stwierdzili — nie godzi się uprawiać łak ofiarowanych im przez władze niemieckie.

W roku 1884 niemiecki nauczyciel w Klukach Stockmeister zanotował w kronice szkolnej, że „tutejsi mieszkańcy należą do rodziny słowiańskiej, szczególnie do szczepu kaszubskiego i pozbyli się kaszubskiego obczaju tak mało, że zwłaszcza starzy używa-

ją mowy kaszubskiej jako mowy codziennej, a małe dzieci przychodząc pierwszy raz do szkoły, nie znają ani jednego słowa niemieckiego“.

TOLEROWANIE BEZPRAWIA

Przepowiednia Hilferdinga nie spełniła się, bowiem w roku 1945 w kilku wioskach powiatu słupskiego, a zwłaszcza w Klukach, było jeszcze kilkadziesiąt rodzin słowiańskich. Starcy pamiętali wiele słów, a nawet układali całe zdania w narzeczu kaszubskim, jak np. ów stary Kirk zwany „królem kaszubskim“ (Der kaschubischer König), który radzieckim żołnierzom służył za przewodnika po nadlebskich bagnach.

Zdawać by się mogło, że dla Słowińców nadeszły inne, lepsze czasy, że w jakiś sposób wynagrodzi im się wielowiekowe opuszczenie, osamotnienie w tragicznej walce o zachowanie mowy i zwyczajów przodków. Niestety, Polskę wobec Słowińców w Klukach reprezentowały władze w Słupsku i Gardnie — które w sumie okazały się okrutną mactochą, zaglądającą do słowiańskich checzy z wyciągniętą pięścią, o belgą i pogardą. A Słowińcy przecież wiedzieli o swoim słowiańskim pochodzeniu, chcieli oddać Polsce swe serca, trud swoich rąk, szukali Ojczyzny w polskiej książce, piosence, szukali przyjaznych uśmiechów na twarzach osiedleńców.

Szukali daremnie. Nie podano im ręki, przeciwnie, okradziono z wszystkiego co posiadali, znieważano ich przy każdej okazji. Niektórzy osiedleńcy, łobuzy spod ciemnej gwiazdy jak np. Woronkowie, Korczyński, Sadocha, a także Janczyc traktowali, względnie traktują ich jako Niemców. Ludzi wyjętych spod prawa jako swoich poddanych. Natomiast władze wojewódzkie i powiatowe swoim milczeniem aprobowały szereg czynów w Klukach bandytyzmu, w pełni tolerowały bezprawie.

PAŹDZIERNIK OMINAŁ KLUKI

Nie będę wliczać krzywd wyrządzonych Słowińcom w 13 latach Polski ludowej. Uczynili to dziennikarze w wielu pismach, chociaż głosy ich pozostały głosami wołających na puszczy. Najboleśniej jest dzisiaj to, że polski Październik nie dotarł do Kluk. Drobne zmiany personalne w władzach miejscowych w niczym nie zmieniły sytuacji — w Klukach nadal panują ci, którzy przez 13 lat dreczyli Słowińców. Nauczyciel Mróz jest tak przestraszony, że ledwie żyje. Podobno Janczyc za namową Woronki usiłował mu sprawić ianie. Za co? Bóg ich wie... Poprzednikiem Mroza na stanowisku kierownika szkoły był Wandtke — człowiek odważny, bezkompromisowy, głęboko wierzący w pracę. (Ciąg dalszy na str. 3)

W NUMERZE

- W Mojuszu nie ma kamieniolołow
- Walek na jarmarku
- Derdowski i pucki burmistrz
- Krótki rachunek sił i możliwości
- Moja droga kaszubska
- Konkurs
- Tańca i śpiewają czerwikie „Kaszuby“
- „Polski król w maciejówce“
- Kociwiciacy w walce z okupantem
- Nasze przigode (Wick z Chwarzna)
- Gburzy z Gnieźdźewa



Stanisław Żukowski — Wdzydze Tucholskie Drzeworyt

W Mojuszu nie ma kamieniołomów

ŚCIANA gęstego lasu niespodziewanie się cofa, ustępując miejsca obszernej polanie. Góry łupanego kamienia, sterty cegiel, zagony rozłożonych do suszenia pustaków — kamieniołomy w Mojuszu.

Właściwie nie są to już kamieniołomy. W czerwcu 1954 r. starania dyrektora Centralnego Zarządu Kamieniołomów i Klinkierni we Wrocławiu odniosły skutek; jedyny na Pomorzu tego rodzaju zakład został zlikwidowany. Blisko 300 pracowników jednego z nielicznych w okolicy miejsc pracy, straciło możliwość zarobkowania. Maszyny wywieziono do kamieniołomów koło Suwałk. Leża tam bezużytecznie, gdyż nowy właściciel nie spieszy się z ich wykorzystaniem. Przyjęcie tych urządzeń do eksploatacji spowodowałoby zwiększenie planu o liczbę stanowczo nieproporcjonalną do możliwości produkcyjnych mocno sfatygowanych maszyn kamieniarskich.

ZACHLANNY BARAK

Dlaczego zakłady w Mojuszu stały się nieopłacalne? Dlaczego były opłacalne przed wojną, gdy należały do prywatnej spółki akcyjnej?

Wśród potężnych bukowych drzew stoi duży barak — siedziba Gromadzkiej Rady Narodowej w Mojuszu. Towarzyszący mi, długoletni kierownik kamieniołomów — Artur Szmichowski, wskazuje ręką w kierunku solidnej budowli.

— Dlatego! Widzi pan? W tym baraku „urzędowali“ dziesiątki pracowników naszej administracji. Ten barak pożerał nasze pieniądze.

Główne przyczyny nierentowności wielu zakładów przemysłowych w ubiegłych latach były zawsze te same: rozrzutne gospodarowanie surowcem i przestarzała administracja. W Mojuszu, z racji charakteru zakładu, trudno mówić o partackiej gospodarce surowcem; materiał zużywany był w 100 proc., zaś produkcja nieskomplikowana — łupanie kamienia narzutowego na kostkę i tłuczeń. Za to administrację zakładu rozbudowano do karykaturalnych wprost rozmiarów: ponad 30 urzędników, 17 stróżów, 20 konserwatorów maszyn, kilku urzędników miejscowych komórek organizacji społecznych... W rezultacie na 300 pracowników mojujskich kamieniołomów, bezpośrednio przy wydobywaniu kamienia pracowało około 90 ludzi.

A więc nic dziwnego. W zakładzie, w którym bezpośrednim wytwórcą towaru jest co trzeci pracownik, trudno mówić o opłacalności produkcji. Jednak zakłady w Mojuszu istnieją od niepamiętnych czasów. Przed wojną zatrudniały one o setkę ludzi więcej niż w ostatnich latach istnienia. Jakże to wtedy było z tą opłacalnością?

— Zatrudnialiśmy wtedy 350 — 400 pracowników — mówi Szmichowski. — Ściślej mówiąc — robotników, gdyż w administracji pracowało wtedy tylko 2-ch urzędników i ja jako kierownik. Stróżów było dwóch, konserwatorów siedmiu. Oczywiście przetwarzaliśmy więcej kamienia, niż po wojnie.

„GŁOWY DO POZŁOTY“

Decyzja o likwidacji kamieniołomów nie przyszła niespodziewanie. Biadłono od lat nad tą nierentownością zakładów. Tylko, że nikt z odpowiedzialnych ludzi w centralnym zarządzie nie pomyślał o przyczynach tej nierentowności. Jakież „głowy do pozłoty“ wystąpiły więc z wnioskiem likwidacji zakładów. Ze kilkaset biadaków z okolicznych wsi kaszubskich straci robotę? Cóż to mogło obchodzić wrocławskich urzędników. Ze w błoto poszły setki tysięcy złotych? Żadna kieszeń wrocławskiego urzędnicy na tym nie ucierpiała.

A w mojujską glinę rzeczywiście rzucono sporo tysięcy złotych. Dla przykładu warto wspomnieć o wybudowanym magazynie materiałów wybuchowych. Koszt — begatela —

300 tys. złotych. Dziś solidna betonowa budowla stoi pusta, niestety rozszadzona przez wilgoć.

Gdy robotnicy dowiedzieli się o likwidacji kamieniołomów, byli oburzeni. Jaki? Zakłady, które od dziesiątków lat żywiły liczne rodziny Czajów, Konkolów, Nastalów z okolicznych, zabitych deskami wsi, mają być zlikwidowane? Z czego będą żyli? O pracę w Kartuzach nie łatwo. Powiat kartuski, drugi co do wielkości w województwie, należy do najgęściej zaludnionych, zaś ziemia do najgorszych na Kaszubach. O pracy w Trójmieście trudno mówić z powodu wyjątkowo złej komunikacji. Takie wsie jak Łosienice, Szklanna, Leszczynki, Ostrowo, Bukowa Góra — to wio szczyń odległe od kilkunastu do kilkudziesięciu kilometrów od najbliższej stacji kolejowej. By zdążyć na ósmą do pracy w Gdyni czy Gdańsku, trzeba by wstać o drugiej w nocy, zaś wróciłoby się o ósmej wieczorem.

Andrzej Zwardoń

Trudno także o pracę w okolicznych zakładach. Zresztą nie wiele ich: cegielnie w Mirachowie, Łopalicach, Długim Kierczu, Somoninie i Starkowej Hucie; tartaki w Miechucinie, Sierakowicach i Nowym Młynie — to właściwie wszystko. Podległa mojujszowskiemu zakładom filia w Sulcinie, została zlikwidowana w trzy miesiące po zapadnięciu decyzji w sprawie Mojusza.

ROZSADNA KONCEPCJA

Nic więc dziwnego, że owego czerwcowego dnia 1954 roku na cichej stacyjce w Mojuszu nie było spokoju. Robotnicy szemrali głośno, tak głośno, że odgłosy niezadowolenia dotarły do odległych o kilkanaście kilometrów Kartuz. Niestety, nie dotarły do uszu właściwych władz w sensie jakichś praktycznych posunięć na korzyść robotników. Przyjechał bowiem... komendant Milicji Obywatelskiej. Nic dziwnego, że przedko przekonano ludzi o „służności“ decyzji Centralnego Za-

ządu Kamieniołomów i Klinkierni. Kierownika Szmichowskiego, żarliwego przeciwnika absurdalnej decyzji, uspokojono groźbą aresztowania.

Zakłady w Mojuszu przejął Wojewódzki Zarząd Przemysłu Terenowego, który zorganizował tam wytwórnię pustaków. Wytwórnia ta zatrudnia 15 pracowników. Kilkudziesięciu robotników przygarnęła cegielnia w Somoninie. Resztę pozostawiono własnemu losowi.

Moje notatki mają, jak dotąd, charakter informacyjny. Wypada zastanowić się nad wyjściem z sytuacji, powstałej w wyniku nieprzemysłowej decyzji centralnego zarządu. Sprawa jest trudna. O ponownym uruchomieniu kamieniołomów w Mojuszu prawdopodobnie nie ma mowy. W każdym razie będzie to problematyczne w okresie najbliższych kilku lat; zbyt kosztowna to inwestycja, jeśli zważyć, że sama budowa rozebranych poprzednio torów wąskotorówki kosztowałaby 8,5 miliona złotych. Kosztowny byłby również zakup nowych maszyn, o które zresztą nie jest łatwo. Należy raczej zastanowić się nad poważną rozbudową obecnej wytwórni materiałów budowlanych. Nieskomplikowany proces produkcyjny tych materiałów, po zwalaniu na zwiększenie ilości i asortymentu produkcji (a więc i liczby zatrudnionych), przy stosunkowo niewielkich nakładach finansowych. Podobno Kartuskie Zakłady Terenowego Przemysłu Materiałów Budowlanych, mają już pewne plany w tej sprawie. Rzecz w tym, by możliwie szybko te plany zrealizować. Ludzie z okolic Mojusza czekają na pracę.

Zwiększenie produkcji prefabrykatów jest również korzystne z uwagi na pomyślnie rozwijające się budownictwo wiejskie. Czas najwyższy, by nasi gburkowie przestali budować wyłącznie z cegły, a bardziej zainteresowali się prefabrykatami. Częściowe zastąpienie tego budulca znacznie obniży koszty budowy checzy. Na ubogich piaskach kaszubskich, jest to sprawa wielkiej wagi.

O d kilku miesięcy zainteresowania rolników skupiają się na sprawie wtórnej klasyfikacji gleby.

Klasyfikacja dokonana po 1945 roku nie zawsze była zgodna z prawdziwym stanem rzeczy. Na niektórych terenach, w poszczególnych gospodarstwach, prace te przeprowadzane były ad hoc. Ludzie, którzy je wykonywali, nie zawsze uczciwie wywiązywali się ze swoich obowiązków. Było to powodem niezadowolenia wielu osób. Niewłaściwie zaklasyfikowane gleby, pociągało bowiem za sobą niesłuszną wysoką stawkę podatkową.

Tabele, którą posługiwano się po wojnie, opracował prof. Mikłuszewski jeszcze w 1935 roku. Posiadała ona wiele braków, była zbyt ogólna, nie odzwierciedlała szczegółowo specyfiki gleby.

Opracowaniem nowej, dokładniejszej tabeli klas, zajęło się Towarzystwo Gleboznawcze. Pracą kierował prof. Musierowicz.

Decyzja Rady Ministrów z 8.1.57 r. rozpoczęła wtórna klasyfikację gleb. Grunty dzieli się na klasy według ich możliwości produkcyjnych, to znaczy — co i ile może na danym gruncie wyrosnąć. Nowa tabela przewiduje tę samą ilość klas, co poprzednia, a więc 6. W sumie jednak jest ich osiem. Gleby najczęściej występujące, są jeszcze dzielone na — a i b (RIIIa RIIIb, RIVa RIVb).

Pracą przygotowawczą do podziału na klasy, jest podział na gatunki, w zależności od pochodzenia gleby. Inne kryteria bowiem, należy stosować dla gleb pochodzących ze skał wapiennych, inne dla lessu, czarnoziem, czy gleb gliniastych, lub piaszczystych. Każda klasa rozbija jest jeszcze na podpunkty, które drobniawo uwzględniają specyficzne różnice. Wszystko to potrzebne jest

do tego, aby właściwie ocenić możliwości gleby.

Prace nad wtórną klasyfikacją rozpoczęto w ubiegłych miesiącach. Powołani zostali do tego fachowcy — agronomowie i geodeci, pod kierownictwem inspektorów z Wydz. Rolnictwa Prez. WRN. Jakość tej klasyfikacji sprawdza Zespół Nadzorczy, składający się z inspektora, przedstawicieli powiatu, gminy i wsi. Wyniki prac przedłożone są w Prez. GRN, i każdy z rolników ma prawo w nie wglądać. O ile uważa, że inspektor postąpił niesłusnie, może złożyć odwołanie.

W dalszym ciągu decyzja inspektora przesłana zostaje do



Ziemia w Żarnowcu

APEL DO CZYTELNIKÓW

Redakcja wydawnictwa zwraca się do wszystkich swoich czytelników i sympatyków z prośbą o pomoc w kompletowaniu biblioteki redakcyjnej. Chodzi o książki, broszury i czasopisma całkowicie lub częściowo poświęcone problematyce kaszubsko-pomorskiej, dzisiaj trudne do osiągnięcia. Nazwiska ofiarodawców redakcja będzie publikować na łamach czasopisma.

Tych wszystkich, którzy nie chcą lub nie mogą pozabawić się pozycji kaszubsko-pomorskich, prosimy o wyrażenie zgody na doraźne korzystanie z ich biblioteki przez pracowników, względnie współpracowników redakcji. W takim przypadku prosimy o podanie swojego adresu oraz spisu posiadanych książek i czasopism.

REDAKCJA

wsie decydują Prez. PRN, które najlepiej znają bolączki swojego terenu.

Tak więc, w lipcu br. przeklasyfikowano w woj. gdańskim grunty w powiatach:

KWIDZYŃSKIM — Nebrowo Małe, Bronisławowo, Podzamcze, Pastwa, Maresza, Czarne Dołe i Górne.

KARTUSKIM — Pępowo, Babinno, Miszewo, Miszewko, Łapalice, Kłobaczyno.

KOŚCIERSKIM — Stara Kiszewa, Rekownica, Chwarzno.

Na sierpień prace te będą zawieszane ze względu na nagłą potrzebę zainteresowania się spr

rolnika. Często są wypadki obniżenia klas. Zdarza się jednak, że niektóre gleby uzyskują wyższą punktację. Odwołanie, jakie ma prawo złożyć każda osoba, rozpatrywane jest przez rzeczoznawców. Często zarządza się ponowną inspekcję gruntów. Wiele jest jednak interpelacji niesłusznych. Np. ze wsi Ogródniki pow. Elbląg, nadeszło odwołanie, pod którym podpisał się 38 chłopów. Uważają oni, że klasyfikacja gruntów w ich wsi była niesprawiedliwa, bo odgórnie narzucona. Poza tym, ich tereny obfitują w pagórki, a więc powinny być potraktowane w szczególny sposób. Zadają stosowania u nich niemieckich norm klasyfikacyjnych, które obowiązywały przed 100 laty. Sprawa wsi Ogródniki została załatwiona negatywnie. Tabela klasyfikacyjna nie przewiduje bowiem szczególnych przywilejów dla terenów pagórkowatych. Wszystkie ziemie traktowane są w taki sam sposób.

Rolnicy, których posiadłości zostaną sklasyfikowane do zimy, będą płacić podatki wg nowych klas już od wiosny 1958 roku. Bo wiem w okresie zimowym, gdy prace nad klasyfikacją zostaną przerwane, Zarząd Urzędów Rolnych WRN opracuje zbiorowe sprawozdanie i obliczy nową stawkę podatkową. Osoby, których grunty nie zostały jeszcze sklasyfikowane, mogą korzystać z 30 proc. ulg.

Akcja klasyfikacyjna przewidziana jest na trzy lata. Jest to jednak zbyt krótki okres na wykonanie tak pracochłonnej zadania. Lepiej więc przedłużyć końcowy termin, aniżeli dopuścić raz jeszcze do tego, aby popełnić no niesłusności, na czym — rzecz prosta — ucierpi znowu rolnik.

MARIA WALKUSZ

W sprawie nowej klasyfikacji gruntów

Prez. PRN, gdzie wydane zostaje orzeczenie. Orzeczenie to, można również przejrzeć i o ile jest niesprawiedliwe, można złożyć odwołanie. Kończącą decyzję wydaje Zarząd Urzędów Rolnych Prez. WRN.

Kolejność klasyfikacji gruntów w poszczególnych województwach, opracowana była przez Ministerstwo Rolnictwa. W wielu wypadkach Prez. WRN odstąpiły od tego schematu. Przykładem może być województwo gdańskie. Jako pierwszy, do wtórnej klasyfikacji zaplanowano odgórnie pow. elbląski, w następnej kolejności miał pójść Gdańsk i Nowy Dwór. Jednak ze względu na nagłą potrzebę przeklasyfikowania gruntów na innych terenach, ustalono inną kolejność tych prac, wysuwając na pierwsze miejsce wsie, w których klasyfikacja była wyjątkowo niesprawiedliwa. O pierwszeństwie tej czy innej

wą byłych spółdzielców. Trzeba bowiem ustalić ich stan posiadania.

W dalszym toku pracy klasyfikacyjnej na pierwszym planie są Żuławy, następnie Nowy Dwór, Elbląg, Gdańsk. Prace w tych powiatach, szczególnie na Żuławach, muszą być ukończone przed okresem jesiennych deszczów.

Dla zainteresowanych jakością naszej gleby podajemy przykładowo. Na terenach żuławskich, według nowej oceny, dominują klasy II i III; w pow. tczewskim klasa III, w starogardzkim i kościerskim klasa V, w pow. kartuskim i wejherowskim klasa IV. Powiat pucki posiada gleby jako ściwo lepsze, bo z przewagą klasy II i III. Dotychczas nie znaleziono u nas gruntu I klasy. Spejaliści jednak twierdzą, że znajdą się takie w pow. puckim.

Rezultaty wtórnej klasyfikacji nie zawsze wypadają po myśli

Druga młodość Czarnej Wody

Początki powstania osady Czar na Woda, położonej w piaszczystych i mało urodzajnych Borach Tucholskich, sięgają XVII wieku. W owym czasie miejscowość leżała bardziej na południe i nosiła nazwę Stara Czarna Woda. Młodsze, a więc obecne osiedle, powstało znacznie później (XIX w.). Przecina je stary trakt Berlin—Królewiec (Kaliningrad), którym wojska Napoleona szły na Moskwę, zaś w 20 lat potem nasi przodkowie gościli tu uchodzących na Zachód uczestników powstania listopadowego, a niektórych nawet skłonili do pozostania w Czarnej Wodzie.

Dla wiejskiej biedoty zamieszkującej Czarą Wodę i okolice, ludne miejscowości kocięskie, odwiecznym problemem bytu była pasza dla bydła. Przed z górą stu laty petycjami skłoniono władze pruskie do założenia 800 ha sztucznych łąk. Jednak biednym niewiele z tego się dostało, gdyż zbiory sprzedawano metodą licytacji.

Dopiero w Polsce ludowej użył kownikami nowych łąk zostali ubożsi chłopcy. Obecnie buduje się nowe urządzenia melioracyjne i stosuje nawozy sztuczne, mające podnieść wydajność łąk i pastwisk.

W latach powojennych mieszkańcy Czarnej Wody zaczęli dusić kłopot drugi — bezrobocie. W cztery lata po wojnie dojrzała decyzja o zbudowaniu fabryki płyt pilśniowych, która miała rozwiązać problem bezrobocia mieszkańców Czarnej Wody i okolicznych wsi. Rzeczywiście, przy budowie nowej fabryki z miejsc znalazło zatrudnienie dziesiątki, a później setki ludzi. W 1953 r., po przystąpieniu do pełnej produkcji, kłopot znalezienia pracy właściwie już nie istniał.

Fabryka Płyt Pilśniowych w Czarnej Wodzie była pierwszym tego rodzaju przedsiębiorstwem w Polsce. Ogromne zapotrzebowanie na płyty pilśniowe wymagało maksymalnej produkcji. Tymczasem kierownictwo borykało się nie tylko z ogromnymi trudnościami natury inwestycyjnej, ale również kadrowej. Biedni chłopkowie z tucholskich piaszków nie mieli pojęcia o skomplikowanej produkcji fabrycznej. Dziś w umorusanych robotnikach stojących przy maszynach trudno rozpoznać dawnych biedaków z piaszczystej morgi.

Plan 5-letni przewiduje poważną rozbudowę fabryki, która ma być zakończona w 1958 r. Poza tym projektuje się w Czarnej Wodzie budowę fabryki terpentyny i kalafonii, organizacyjnie połączonej z obecną fabryką. Już sama budowa tego zakładu zatrudni ok. 150 pracowników.

Aktywizacja gospodarcza Czarnej Wody pociągnęła za sobą rozwój osiedla. Powstały dwa sklepy spożywcze, sklep masarski, tekstylny, cztery warsztaty rzemieślnicze, trzy biblioteki publiczne, stałe kino i ambulatorium lekarskie. Zelektryfikowano ok. 70 proc. zabudowań. O powolnym wychodzeniu z odwiecznej biedy świadczy fakt, że do 1953 r. zbudowano 18 nowych domków, a obecnie na osiedlu Młodego Robotnika planuje się budowę czterdziestokilku nowych domków. Przewiduje się też budowę nowej szkoły.

Jeszcze w 1880 r. Czarna Woda liczyła 213 mieszkańców. Obecnie osiedle liczy ok. 2000 mieszkańców. Przewiduje się, że w 1960 r. Czarna Woda trzykrotnie powiększy liczbę swoich obywateli. Obecnie miejscowe władze starają się o nadanie miejscowości praw osiedla miejskiego. Prawdopodobnie wkrótce Czarna Woda będzie najmłodszym miastem Kaszubskiej Ziemi. W zapomnienie idą czasy, kiedy nasi Dobkowie, Gryfowie i Litwińscy szli „w świat” w poszukiwaniu lepszej doli.

(Ko)



Ostatni akt tragedii?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

worządność. Rzucał się do walki o dobro Słowinów z istic kaszubskim uporem, wędrował po urzędach w Słupsku, Koszalinie, a nawet w Warszawie. Bezskutecznie. Wandtke musiał opuścić Kluki, bo taka była wola Woronki, Korczyńskiego i spółki. Taka była decyzja władz powiatowych i wojewódzkich.

Albo sprawa Ruty Koetsch. Dzielna ta dziewczyna była przez pewien okres sołtysiem i świetliczanką w Klukach. Była duchowym przywódcą miejscowej ludności. Nie podobało się to Woronce i Korczyńskiemu. Zaczęli szczerzyć dziewczynę, której życie stało się odąd jedną wielką udręką. A władze powiatowe z ówczesnym przewodniczącym Prezydium PRN Lewandowskim i I sekretarzem KP PZPR Karalunem na czele zamiast pomóc Rucie, zajęli wobec niej stanowisko wroga. Zresztą obydwoj nie znosili terminu „Słowinicy”, natomiast chętnie szafowali terminem „Niemcy”. Nieznajomość historii, lekceważenie podstawowych praw człowieka, obłuda i bezdusność doprowadziły do dopelnienia wielowiekowej tragedii Słowinów. Słowinicy opuścili względnie opuszczają swoją rodzinną ziemię. Opuściła ją również i Ruta Koetsch. Na pożegnanie pijany Janczy wyrzucił Rutę z świetlicy, bo nie chciała z nim tańczyć. Na pożegnanie, w dniu Święta Odrodzenia, Ruta wciągnęła biało-czerwoną flagę na maszt przed swoją checzą.

ROZPACZ LUDZI

Ruta pokazywała mi wykonane przez siebie hafty kaszubskie, mówiąc przy tym z zapałem, że ona i inni Słowinicy pragnęliby pozostać w Klukach, tylko że dłużej nie mogą żyć w bezprawiu.

w otoczeniu zrujnowanej gospodarki. I wtedy przypomniałem sobie uwagi Grzegorza Smólskiego, zawarte w notatkach „Z podróży na Pomorze” (Ziemia, 1911 r.). Smólski pisze: „Mieszkańcy ustronnych osad (słowinickich — przyp. T. B.) są... obcy w świecie: jedni opływali morzem łady, drudzy widzieli kawałek świata, służąc w wojsku, są też tacy, którzy szukali szczęścia w Ameryce, lecz wszyscy wrócili do swej rodzinnej wioski, bo swojska ziemia posiada dla nich największą siłę przyciągającą i urok, szczególnie Kluki, górujące w wyobraźni swych mieszkańców nad wszystkimi osadami w okolicy”.

HEIMATLAND IST HEIMATLAND — te słowa usłyszałem z wielu ust. Przywiązanie do ziemi rodzinnej, do moczarów i jeziora jest wielkie i dlatego ciężko Słowinom opuszczać Kluki. A jednak muszą, ażeby chociaż kilka lat przeżyć w spokoju. Niedawno 40-letni Otto Proy odwiedził swoją rodzinę w NRD. Wrócił do Kluk z mocnym postanowieniem, że rodzinnej wioski nigdy nie opuści. Jego krewni oświadczyli, że sami chętnie powrócą do Kluk. Wprawdzie w NRD nie jest źle, jednak czują się tam obco, bo „Heimatland ist Heimatland”. Krewni Ruty przebywający w NRF też wróciliby do Kluk. I inni Słowinicy, których po wojnie wypędzono z Kluk, chętnie wróciliby do rodzinnej wioski nad jezioro.

BEZ ZŁUDZEŃ

Interesując się od szeregu lat sprawą Kluk, zebrałem szereg faktów dotyczących łamania praworządności, upadku gospodarki i w ogóle życia Słowinów. M. in. zebrałem niemal wszystkie artykuły i notatki o Klukach, które ukazały się w prasie polskiej od roku 1946. Cyfra ich

jest zaskakująca: w 73 wypadkach pisano o tragedii Słowinów! I pomyśleć, że efektu nie było żadnego. Prasa prasa, a władze swoje. Nie powiem, władze powiatowe i wojewódzkie podejmowały różne uchwały, lecz pozostały one tylko na papierze. Chociażby długofalowy plan ofensywy kulturalnej na Kluki, który otrzymałem do przejrzania od przewodniczącego Prezydium PRN w Słupsku ob. Jankowskiego, albo program KW PZPR w Koszalinie, leżący od 1955 r. w... archiwum (nr V/887/55 z dnia 25. VII 55). W dokumencie tym KW stwierdza m. in., że Korczyński otrzymał w r. 1952 zezwolenie na rozbiórkę chlewu i

charakterem spośród ludności rdzennie kaszubskiej.

Otoczyć systematyczną opieką państwa Słowinów, zapewnić im udział we władzach terenowych.

4) Zlikwidować nadużycia i demoralizację powodowane przez niektórych osiedleńców.

5) Zrealizować program Komitetu Wojewódzkiego PZPR z roku 1955.

Przy odpowiednich nakładach finansowych Kluki można odbudować, można rozwinąć tam gospodarkę, zwłaszcza hodowlaną i rybołówstwo. Tym bardziej, że np. w rybołówstwie zmieniono koncepcję organizacji pracy (w Państwowym Gospodarstwie Rybnym), a rybacy indywidualni już

stodoły za... 105 zł. W r. 1954 otrzymał on zezwolenie na kupno i rozbiórkę zabudowań za 170 zł. Nie można się więc dziwić, że zabudowania w Klukach są poważnie zdewastowane.

W dalszym ciągu Egzekutywa KW słusznie formułuje kilkanaście punktów, których realizacja w poważnym stopniu naprawiłaby krzywdy wyrządzone Słowinom i podniosła gospodarkę w Klukach z kompletnego upadku. Niestety, program Egzekutywy KW nie został zrealizowany. Podobno obecnie KW od nowa chce się zająć sprawą Kluk, chce naprawić błędy minionych lat. Słusznie, tylko czy nie byłoby dobrze zainteresować się głębiej władzami powiatowymi w Słupsku? Bo te przecież najwięcej

samodzielnie wyjeżdżają na polowy.

W Klukach odbywa się w tej chwili ostatni akt tragedii Słowinów. Wioska przemieniła się w ementarzysko słowiańskie, oskarżając za bazprawie, które swobodnie tutaj się panoszyły. Aktu tragedii nikt już nie odmieni, ale część krzywd można jeszcze naprawić. Można i trzeba.

TADEUSZ BOLDUAN

P. S.

1 sierpnia br. wyjechali do Kluk członkowie Sejmowej Komisji Rozwoju Ziemi Zachodnich — posłowie Wincenty Karuga i Florian Wichlacz, prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubskiego Aleksander Arendt, pre-



Mostek na Pustynce w Klukach

szkód wyrządzili, a i obecnie patrzą na sprawę Kluk obojętnie. Mam wrażenie, że „powiat” czeka, aż wszyscy Słowinicy wyjadą do Niemiec, a tym samym, w jego mniemaniu, „sprawa Kluk” się zakończy.

Sprawa Kluk nie zakończy się dopóki, dopóki chociaż jeden Słowiniec będzie się tulał gdzieś w NRD czy NRF, dopóki nie zostaną naprawione krzywdy wyrządzone tym ucziwym ludziom i władzom naszym nie zaświta myśl, że przecież po to piastują urzędy, aby ludziom służyć i strzec praworządności.

PROGRAM NAPRAWY

Ostatnio w środowisku słupskim, skupionym wokół Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, powstała myśl opracowania programu rozwoju Kluk. Program taki został już opracowany i prawdopodobnie przedstawiony Komitetowi Wojewódzkiemu PZPR. A oto w streszczeniu niektóre postulaty:

1) Za pośrednictwem naszych placówek w NRD i zamieszkujących jeszcze w Polsce Słowinów podać do wiadomości tym wszystkim, którzy wyjechali z Kluk i okolicy, że mogą wrócić i otrzymać odpowiednie gospodarstwa, na zagospodarowanie których uzyskają pomoc państwa.

2) W Prezydium WRN w Koszalinie utworzyć stały specjalny fundusz, z którego będą korzystać powracający Słowinicy.

3) Na teren Kluk należy skierować osiedleńców zbliżonych do Słowinów kulturą obyczajami i

zes Wojewódzkiego Zarządu Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich Bernard Kula i wyżej podpisany. Zainteresowany sprawą Słowinów, przybył tam również przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku Józef Wolek. Z rozmów przeprowadzonych ze Słowincami, m. in. z Ewaldem Baranowem, Otto Proyem i Ruta Koetsch wynikało wyraźnie, że krzywdy wyrządzone Słowinom w minionych latach były zbyt wielkie, by móc je wybaczyć. Posłowie jak i pozostali doszli do wniosku, że jedynym rozwiązaniem sprawy byłoby zrealizowanie postulatów wysuniętych przez Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego w Słupsku (szczególnie przez Marię Zaborowską, Iwo Malczewskiego i Zygmunta Jazdziejewskiego), którego fragmenty podałem w artykule. Poza tym sugeruje się powrót Wandtkego na stanowisko kierownika szkoły w Klukach.

Delegację uderzyło również i to, że władze powiatowe pobłażliwie podchodzą do bolacek Słowinów, między Niemcem a Słowincem stawiają znak równania. Rezultat jest taki, że po Październiku wyjechało z Kluk 14 rodzin (34 osoby) do Niemiec, zaś kilka następnych rodzin oczekuje na wyjazd.

Same Kluki tworzą wstrząsający obraz: zabudowania zdewastowane, np. dobry murowany dom służy Woronce do magazynowania torfu i siana. Wioska jest wyludniona. Co dalej?

Antykwariat Kaszubski

Niemy teatr w Łegu

Rzecz dotąd niebywała zaszła w niedzielę, 11 lipca w Łegu w powiecie chojnickim, gdyż odegrano tam niemy teatr: wyraźnie niemy, bo grano na migi. Rzecz miała się tak: tamtejsze Towarzystwo Ludowe „Oświata” obchodziło 15 rocznicę swego istnienia. Przy tej okazji miało się odbyć przedstawienie amatorskie; miano grać sztukę ludową „Genowefa”. Już podczas zabawy w lesie zakazali żandarmi wszelkich polskich śpiewów, oświadczając, że wolno tylko śpiewać po niemiecku. Po powrocie na salę miało się rozpocząć przedstawienie, lecz i tutaj żandarm oświadczył, że wolno grać tylko po niemiecku.

Rozgoryczenie było wielkie, sala była zapelniona aż po brzegi, gdyby oświadczone, że przedstawienie się nie odbędzie z powodu zakazu żandarmów, to kto wie do czego by doszło. Postanowiono zatem dać przedstawienie na migi, aby publiczność za swoje pieniądze coś widziała.

W ten sposób odegrano milcząco dwa czy trzy akty...

Obok oryginalności, miało owo przedstawienie dużo stron humorystycznych, zwłaszcza, że amatorzy nie dali się zbić z tropu. W pierwszym akcie np., gdzie zachodzi pieśń „Śmiało do boju”, rozległ się naraz śpiew, który po długim milczeniu wielkie zrobił wrażenie. Odśpiewano całą pieśń na właściwą melodię, tylko bez słów, na znany sposób: la, la, la.

„ŚWIAT SŁOWIAŃSKI” 1909 R.
PODAŁ T. B.

Jarosz Derdowski

Walek na jarmarku

Gorzkie żale czeladnika krawieckiego

Pewien czeladnik krawieckiego fachu,
Co nie miał nigdzie chroniącego dachu,
Rzucił na plecy swój tłumoczek lekki
I poszedł szczęścia szukać w świat daleki.

Ale to szczęście nie każdemu sprzyja
A poczciwego najczęściej omija,
Więc i nasz krawiec po długim tułaniu
Powrócił zimą w latowym ubraniu.

Znajomy majster wziął go do warsztatu,
Czeladź się jemu cieszyła, jak bratu,
A kiedy tępe znów dzierzył nożyce,
Pytają, jakie zwiedził okolice?

— Oj zwiedziłem ja różne wsie i miasta,
Lecz wszędzie bieda, jak u nas i basta,
A jaki nędzny wiodłem byt tułaczy,
Ten tu mój zaczek niech wam wytłumaczy.

Gdym z pełnym workiem stanął w Petersburgu,
Występowałem w porządnym tużurku,
Ale gdy długo nie było roboty,
Wnet się zaczęły pieniężne kłopoty.

Za Polską wzięła mnie tęsknota silna,
Lecz ledwie miałem na bięt do Wilna,
A gdy przybyłem nad Wisłę do Pragi,
Znikły z kieszeni rosyjskie bumagi.

Kiedy po moście ku Warszawie biegnę,
Spotykam z Księstwa znanego kolegę,
Co od tygodnia miał u Żyda pracę
I właśnie pierwszą tego dnia wziął płacę.

Ten mnie się pyta, czemu mi tak smutno,
A gdy powiadam, że w kieszeni póżno,
Radzi mi bym mu ostatnią sukmanę,
Za jego kusy zaczek dał w zamianę.

— Nie chcę ja, rzeczce, abys był skrzywdzony,
Ponieważ zaczek trochę podniszczony,
Byś miał pieniądze na pierwszy początek,
Przydam dwa ruble, cały mój majątek.

Wyjdiesz ty nieźle na tym interesie,
Bo jak padanie na Kujawach niesie,
Zdobit on Walkę, jorysia od koni,
Którego siawa dzisiaj głośno dzwoni.

Lecz mimo tego wielkiego rozgłosu,
Był biedny zaczek na igrasce losu,
Bo go znalazłem pomiędzy zagony,
Na odstraszanie wróbla zawieszony.

Nie zachęcała taka zaczką chwala,
Lecz jako ciężka bieda przyciskała,
Dalem sukmanę, on mi zaś dwa ruble
I swoje sławne straszdyło na wróble.

Pocieszałem się, że w tak wielkim mieście
Znajdę przytułek i pracę nareszcie,
Ale nie znałem kochanej Warszawy:
Wszystkich przeraził nabytek dziurawy.

Zaraz mnie ludzie wzięli na języki
A o mym zaczkę pisali dzienniki,
Ze jak w Warszawie bruk pozakładano,
Coś podobnego jeszcze nie widziano.

Wziąłem się spiesznie do reperatury,
U Prószyńskiego zalatałem dziury,
A wtedy mi go ku pamięci wiecznej
Wymalowali w Gazecie Świętecznej.

Sam się przeląknem tego malowidła,
W końcu do reszty Warszawa mi zbrzydła,
Myślałem, że już powaryowali,
Więc też w mym zaczkę wędrowałem dalej.

Różne ja potem przechodziłem dole,
Nieraz lotrzyki wywiędli mnie w pole,
Dobrze mój zaczek sobie przypomina
Śmieszne przygody, gdym wracał z Cieszyna.

W Kralowie świeże przybywały luty,
Przez ramię na mnie patrzyły magnaty,
W Lwowie, gdzie się przespał w chorym domu,
Austriackiego nabrałem rozumu.

O mych kolejach lepiej niż papiery
Świadczą przypięte na zaczkę ordery;
Tę latę czarną zrobił Niemiec z Łodzi,
Ta zaś zielona z Rusi gdzieś pochodzi.

Te tu u góry białe i czerwone
W różnych warszawskich kątach znalezione,
A ta największa koloru złotego
To wielki order pana Potockiego.

Więc rozwiązana macie tamigłówkę,
Już ja nie pójde więcej na wędrowkę,
A zaczek schowam dla biednego dziecka,
Niechże go po wsiach dodrze do ostatka.

Kiedy w nim wstąpi do życzliwych ludzi,
I śmiech i litość w niejednym pobudzi,
A gdy pamiętka całkiem się rozleci,
Może z papieru kupią ją poeci.

Toruń, na św. Filipa, właśnie gdy stróż drugi raz gwizdnął.

Pierwotne brzmienie kołysanki w Panu Czorlińskim

Uroczystości wielewskie ku czci Hieronima Derdowskiego oraz za powiadane wznowienie utworów tego poety, niezawodnie staną się okazją do „wspominków“, do przypomnienia mniej lub więcej znanych szczegółów biograficznych, których celem przecież ma być zbliżenie poety do nas, oraz zbliżenie nas do niego. W związku z tym nie od rzeczy zapewne będzie choć krótka wzmianka o tym, jak pierwotnie brzmiał tekst kołysanki kaszubskiej, jaką swojej córce śpiewała pani Bôsia Czorlińską, żona bohatera eposu, gdy jej pón Czorlińszczy do Pucka po sece jachół.

Najbardziej znana wersja tej piosenki, spopularyzowanej dzięki stylowemu opracowaniu muzycznemu przez prof. Tadeusza Tylewskiego — w nowszej transkrypcji — brzmi następująco:

Zuzu, zuzu, córuleńko,
Zabił ci oja w renku.
Zabił ci go ze druzdymi,
Toporami żelaznymi.
A w Raduni krwawo woda,
Szkoda ojca, żecó szkoda.

Matka płacz, tē spij sobie,
Oj, nie tobie płacz, nie tobie,
Tobie aniól cacka strugó,
W gaju żóty póżek frugó.
A w Raduni...

Płacz matka bez ustanku,
Tē spij sobie na postanku.
Tobie pluszcze rybka w stawie,
Gaska gęgó na murawie.
A w Raduni...

Ciebie matka wēpiastuje,
A stróż Aniól cę pilnuje:
Wēprowódz cę na łączkę,
Wiónek daje dziecku w rączkę.
A w Raduni...

Wiónek bierzesz do dóm sobie,
Kładzesz go na tatezi grobie.
Kłęcząc modlisz się za ojca,
Co go zabił krzézó k zójca
A w Raduni...

Tak się już stało, że piosenka ta — której drugą melodię przy wtórce cytry śpiewa Wincenty Rogala — stała się tematem najróżniejszych dociekań i choćby dlatego warto jej poświęcić kilka dodatkowych uwag.

Oto analizując pierwszą zwrotkę tej pieśni doszedł prof. J. St. Eyston do wniosku, że jest to nadzwyczaj rzadki okaz pieśni ludowej, zawierającej pewien ważny przekaz historyczny. Gdy nie znający nawet tej opinii profesor U. J. Waclaw Sobieski w swej książce „Walka o Pomorze“ (Poznań 1928) recytował tę zwrotkę, spotkał się z większą i bardziej niewybredną repliką dr Fryderyka Lorentza, skądinąd bardzo zasłużonego badacza kaszubszczyzny. (w Ostland-Schriften, Heft nr 8, wydany przez b. archi-

wariusza byłego Wolnego Miasta Gdańska dra Waltera Recke) — twierdzącego, że przytoczony przez prof. Sobieskiego fragment pierwszej zwrotki kołysanki kaszubskiej nie jest częścią pieśni ludowej, lecz że w całości została napisana przez Hieronima Derdowskiego. Jak właściwie sprawa się przedstawia?

Znajdujemy coprawda fragmenty tej pieśni w „Pieśniach gminnych...“ Ignacego Łyskowskiego, znamy ją również z pracy Józefa Łęgowskiego „Kaszuby i Kociewie“ (wyd. Poznań 1898), znamy ją i z innych zbiorów pieśni, nie mniej jednak daty opublikowania ich są dużo późniejsze od ogłoszenia drukiem całości poematu o Czorlińskim, więc łatwo można by dowód ten obalić. O wiele cenniejszą jest wypowiedź samego Derdowskiego, zamieszczona w „Przyjacielu“ nr 45-46 z r. 1880. gdzie pisze dosłownie: „to co było w pierwotnym szkicu pieśni, jest podane jako wynurzenie serca strokanej matki i żony, nawiązane do rzeczy wistoci pieśni ludowej (podkreślenie moje) przypominającej dawne czasy, której pierwszą zwrotkę po dziś dzień śpiewają na Kaszubach“. Komentując dalej tekst zachowanej zwrotki podaje Derdowski, że „jeżeli dziecko jest synkiem — nateczas śpiewa się: „ziuziu, ziuziu, mały senku, zabił ci ojca w renku“.

Ponieważ Derdowski podaje, że korzystał przy tym z informacji zawartej w dziele pt.: „Starożytności Polskie“, warto sprawdzić, jak brzmi odnośny fragment. Oto w encyklopedii pod tym tytułem. „ku wygodzie czytelnika porządkiem abecedowym zebranej“, pod hasłem „Gdańsk“ (t. I. Poznań 1842) czytamy:

„W następnym roku (1308) ukazał się nowy nieprzyjaciel, a tym byli Krzyżacy, połową zamku posiadający. Oddawna już miasto to ich chciwość techtało, dlatego też tym chętniej w roku zeszłym do obrony nakłonić się dali, byle tylko do zamku się dostać. Nabrawszy się przez nowe z Niemiec posiłki, załogę polską z drugiej połowy zamku wyrzucili. Przedsięwzięli odebrać i miasto, które jeszcze pod strażą polską pozostawało. Właśnie podówczas odprawiał się na nim wielki jarmark pierwszych dni sierpnia.



Nacisk bezbronny ludu zdawał się im najlepszą porą. Nagle niemieckie hufce stanęły pod murami. Potrzeba uzbroića niezwykle nawet do oręża ręce, a rycerstwo polskie i pomorskie z ludem pomieszanem mężny przez kilka dni dawało opór, ale mieszczanie niemieckiego rodu wszedłszy w rozmowę z nieprzyjacielem, bramy otworzyli. Wycieńczeni żołnierze obojga narodów, a wściekłość zwycięzców nie mając dosyć na zgubie obrońców, rzucili się na lud bezbronny, nie przepuszczając płci i niedołężnemu wiekowi, do 10.000 ludzi wybito. Krzyżacy zniszczyli zaraz dawne miasto, wzięli mieszkańców pozostałych na inne miejsce ku Motławie i założyli z drzewa dzisiajjsze właściwe miasto (die rechte Stadt) około roku 1311, które później, to jest roku 1343, Rudolf Koenig, mistrz krzyżacki, murem obwiodł“.

Kiedy Derdowski zapoznał się z wyżej cytowanym fragmentem artykułu ze „Starożytności Polskich“ — nie wiadomo, Być może, że już wcześniej, a dopiero w roku 1880 przyszedł mu do głowy pomysł zmiany kołysanki przez wykorzystanie historycznego motywu — w tej chwili jednak rozstrzygnąć tego nie możemy, nie jest to też zresztą ważne. Nie ulega jednak wątpliwości, że obecny wiersz jest znacznie lepszy od poprzedniego, zamieszczonego w czasie druku „Czorlińszczy“ w odcinkach w „Przyjacielu“. Dawniejszy wiersz brzmi jak następuje:

„Ziuziu, ziuziu moje dziecko
W kolebkowym lożu
Śnij so, maluchno córeczko,
O amniele strózu.

Może cę amniól o tacie
Co obznajmi we śnie,
Czē on pamniētó o matce,
Czē powrócy wczesnie.

Cziējbe tatka z drodzi wrócēt
Przēwiozł bē pupeczkę,
I piosneczke dziecku nócēt
I ziuziōł córeczke.

Ale on sędy w niewoli
Dalek za górami,
Wiere i w tyj częczcij doli
Dzys teskni za nami.

Moze on ju nie przējedze
Do dziecka i żonē.
Moze ostaniemē w biēdze
Obie opuszczone

Bedzem plakac nieustannie
Calē dnie i noce,
Bo los częczci rozostanie
Wdowie i seroce.

Przypuszczam, że przy tej okazji wyjaśniła się sprawa, ile autentyzmu ludowego posiada na początku cytowana pieśń Derdowskiego.

LEON ROPPEL

Puck pozostał „perzynką“

Puck — to miasteczko stare. Może sobie liczyć 700, a może 800 lat. Któż to dokładnie wie. Podobno wieś Puck założył w 1150 r. książę Bogusław i od jego imienia (przez przekształcenie językowe), z biegiem lat powstała dzisiejsza nazwa — Puck.

Była to wieś zamożna. Nic więc dziwnego, że w 1220 r. Sombor I darował ją klasztorowi: Cystersów w Oliwie. Wkrótce jednak książę Świętopełk wymienił Puck na Starzyno, podnosząc wieś do godności miasta. Gród ten szybko się rozwinął dzięki korzystnemu położeniu nad zatoką pucką i zbudowaniu drogi bitej do Gdańska. Tak więc już pod koniec XIII wieku Puck był kasztelanią i siedzibą książąt pomorskich.

Pierwszym kasztelanami byli hrabia Scibor, potem Woisław. Po „krwawym odpuszczeniu św. Damińska“ w Gdańsku (1308 r.), również Puck został opanowany przez Krzyżaków i stał się siedzibą krzyżackich komturów. Dopiero po Pokoju Toruńskim zostało wyzwołone miasteczko, a królów polscy potwierdzili jego prawa.

Za Władysława IV Puck staje się pierwszym portem Rzeczypospolitej. Jednak napływ ludności

niemieckiej, rozbiory i upadek Polski, doprowadziły do zniemczenia miasta. Myśl polska zesłała do podziemia i żyła w ukryciu. Trwała w kościele i checzach. O polskość walczył zjadale Antoni Abraham — znany działacz z Zadry koło Pucka oraz Antoni Miotk — późniejszy burmistrz polski.

Siedem miast kaszubskich od dawna klęci się ze sobą, które z nich jest wszech Kaszub głową:

Gdańsk — miasto liczne,
Kartuzy śliczne,
Święte Wejrowo,
Lębork, Bytowo,
Cna Kościerzyna,
I Puck perzyna.

Tak pisała w 1909 r. poetka, Maryla Wolska. Puck pozostał „perzynką“, małym miasteczkiem liczącym około 5.000 mieszkańców. Ta „perzynka“ ma jednak ambicję wybicia się, szczególnie od 1954 r., kiedy z powrotem stała się miastem powiatowym.

ZYGFRED PRÓSZYŃSKI

O PANU CZORLIŃSCIM

CO DO PUCKA

PO SECE JACHOL

JE
ZŁEŁ

DŁO SWOJICH DRUHOW KASZUBSICH

Jan Derdowski

TORUN

WŁOSNOŚĆ LUDRZA

Książka Józefa Buszczyńskiego, drąkarza w Toruniu

1880

Derdowski
i pucki burmistrz

Kaszubi lubili sobie drwinkować z burmistrzów swych miast i miasteczek. A i dzisiaj chętnie pokpiwują z „dostojnych“ urzędników rad narodowych.

Hieronim Derdowski w poemacie „O panu Czorlińskim“ nie zapomni o tej kaszubskiej właściwości i także sobie zadrwił z burmistrza miasta Pucka. Skończyło się to aż... procesem sądowym, gdyż pruski burmistrz nie poznał się na żarcie i swój brak poczucia humoru zmanifestował wytoczeniem poecie procesu karnego.

Rzecz cała poszło o... węgorza na łańcuchu; wprawdzie Puck ma w herbie lwa i łosia, ale istnieje podanie głoszące, że do

puckiego herbu chciał się dostać i węgorz. Nie udało mu się to wskutek całego splotu podstępów i zdrad, które w końcu doprowadziły do okucia węgorza w kajdany. Dlatego do dziś prześladowa się pucczan drwiną, że trzymają w swym porcie węgorza przykutego do nabrzeża na łańcuchu, a zwłaszcza swarzewiacy lubią się przedrzeźniać, pytając pucczan: — „Jak tam wasz węgorz na łańcuchu?“

Derdowski, znając te drwiny, umieścił w swym poemacie ustęp opisujący jak Czorliński przyjechał do Pucka i schwytał węgorza w przerębli, jak to zobaczył pucki burmistrz i co z tego wynikło:

Wisi srodze ciężki węgorz z lyncuchem na karku.
Weczase, bo węgorz dludzi, na podobę zmnije,
Mocno, dzibcim swym ogonem, go po skorzniach bije,
Cofo się i szarpie bodorz z cały moce, ale
Lyncuch mocno je przybity do dechtowne fale,
Co tu zacząć? — Hokow nie chce wejść z rebe brzucha,
A mocnego też nie może rozerwać lyncucha,
W tym się zjowio pucci burmistrz, w oczę jemu wzero...
„Dosz te poka! — krzeknie — i mu z ręci drążk wedzero...
Co te z naszym ubóstwionym robisz tu węgorzem,
Co je nasz pucci ude ju od wieków strożem,
Jego pierczy burmistrz pucci wsadzel tu we wodę,
Be zelinte naszym rebam nie robjele szkode!“
Rzek noweszcy mniasta Pucka włodorz i gospodorz,
A tej nazod węgorzowi z mnięsa wecąg bodorz:
Nasmarował w jego rane jacies biole masce
I go znouw wsadzel w urząd do morsci przepasce.



Samo wytoczenie skargi Derdowskiemu za tę przykpinke, to sprawa istotnie komiczna, ale go rzej z tym, że sądy pruskie potraktowały ją całkiem serio i poeta miał wiele kłopotu nim z całą powagą dowiódł, że nie chciał obrazić „godności“ burmistrzującego wówczas w puckim ratuszu niemieckiego urzędnika.

W każdym razie ten burmistrz wart jest, by go ośmieszyć jeszcze i teraz, przeszło 50 lat po przygodzie Derdowskiego.

W Lebie pierwszym burmistrzem miał zostać taki zuch, który nosił po wsiach ryby na sprzedaż. Pewnego razu zabierając na plecy koszyk z flądrami, wziął przez omyłkę przyczepioną do kosza patelnię. Patelnia uderzała o bok koszyka i dość głośno szczekała. Nasz zuch pomyślał, że to czart usiadł mu na plecach, leci więc zdyszany do księdza i prosi go, aby odpędził czarta. Ze był taki „przemysłny“ — wybrano go na burmistrza Leby.

Smieł się na Kaszubach chłop, że w małych miasteczkach burmistrzowi wdziwiają buty tylko na niedzielę i wielkie święta, a niektóre miasteczka są tak ubogie, że nie tylko ich nie stać na osobnych burmistrzów, ale nawet mają do spółki jednego skowronka, który raz śpiewa w jednym mieście, drugi raz w drugim.

Ale nie tylko kpiono sobie na Kaszubach z burmistrzów, drwinowano też z samych miasteczek kaszubskich, na przykład w takim czterowierszu, który przytaczamy na zakończenie: Słupsk — to miasto przedniejsze Lebork o wiele mniejsze, Bytów zaś tylko mniejsza, A Leba — istna kpina.

(w. męż.)

Fif
Jarosza

Po Wielu chodzi żandarm pruski srodze przykazujący gospodarzom, aby nadchodzący dzień cesarskich urodzin uczili dekorując domy i wywieszając flagi. Jarosz, ku zdumieniu sąsiadów obiecał, że nie omieszka wypełnić tego rozkazu.

Obiecnicę spełnił, choć w sposób dość nieoczekiwany. Kiedy zaświtał ranek uroczystego i czczonego w całej Rzeszy dnia, na chęcy Derdowskiego powiewały... podarte buksy Jarosza

(f. f.)

PRZESADY I WIERZENIA
Pana Czorlińskiego

JAN ROMPSKI

Derdowski już w inwokacji po zostawia czytelnika w przekonaniu, że poemat „O Panu Czorlińskim...“ jest „zełganą historiją“, chociaż sam Czorliński miał być postacią autentyczną:

„...Autor dzieła... nie wymarzył sobie dowolnie w głowie bohatera swej powieści, lecz wziął go z rzeczywistego, powszechnie znanego podania ludowego. Ze podobny „Czorliński“, jakiego nam autor przedstawia, kiedyś musiał żyć na świecie, to rzecz więcej jak pewna, bo inaczej imię jego nie byłoby się tak rozpowszechniło na Kaszubach“. (Pisma prozą — zebrał Andrzej Bukowski — Kartuzy 1939, str. 33)

Reliktem „powszechnie znanego podania“ miała być modlitewka za pana Czorlińskiego, którą sam Derdowski słyszał w rodzaju śpiewanych godzinek w rodzimym weselu szlacheckim w okolicach Kościszyny. Tekst litani według poety jest następujący:

Módlma się za pana Czorlińskiego,
Co do Pucka po sece jachol:
Be szeslewie nam powróceł
A gdzie w drodze nie wewroceł,
Przeżyń się za nim święto Lueyjo
Be go nie porwał Smętek bestyjo,
Be go bufca w lesie nie napędzie,
Nie zabię, abo nie okredie
Be se sece wnet weszkol
A go żedek nie oszkol.
Uczą się wszęci amniele,
Ciej będzeme rebe mnięle,
Będzeme jedle moryńcie
I spiewale so godzynie
Gospodeni, stawiej mińcie,
A te, druhu, nalewej cieliszcie
Wszetko na słowe dla narodu
I na chwale szlacheckiego rodu.

Fragment ten nie stanowi jednak właściwego dokumentu, potwierdzającego w tym wypadku autentyczność bohatera poematu. Derdowski nie podaje ani miejscowości, w której wesele się odbywało, ani nazwiska biednego szlachcica. Spisał modlitewkę z pamięci. Uderzająca jest również pisownia, w której Derdowski stosuje „ó“, nie stosowane w potudniowej kaszubszczyźnie.

Chciałbym zwrócić uwagę nie na główną według tytułu poematu postać, ale na jej konkurentkę i to bardzo silną, na postać faktycznie centralną — diabła Smętkę, na przesady i wierzenia

w „Panu Czorlińskim“. Są to przyczyny wszystkich opłakanych skutków wyprawy Czorlińskiego. Jakby asekuracją przed spodziewanym działaniem diabła — jest wiara w boską moc i opiekę. Ta wiara podtrzymuje obu małżonków. Wyrazem tego jest modlitwa Czorlińskich w kosiele:

„Po tym jidze do koscoła, kłeko na kolana
I się modli przed oltarzem za swojego pana
Be szeslewie ze secami z Pucka do dum wroceł
Nie zarwoł się gdzie na bloce abo nie wewroceł...“

Oprócz tej wiary o podłożu religijnym, rozlata się przed nami z kart poematu świat przesady i wiary w działanie złych, nieczystych sił, owych kaduków, uroczych oczu, czarownic z Łysej Góry, ingerujących w działalność ludzi:

Zaro ledwem dnia pierwszego, wyjechał za drożke
Diobte babę mnie nastale na nie-szczesną wróżke
Gwesno to beł z Łesy Górze kawał czarownice,
Abo kaduk też samusiek obuty w spódnice
Ta przelazła mnie bez drogę koniędch pod nosem
Rychtyk tam, gdzie się zaczęło bór za onym wrzosem...

Szczególnie zwierzęta widzą niespostrzegalne dla ludzi zjawy. Psy wyją wtedy przeraźliwie, konie stają dęba i nie chcą w żaden sposób ruszyć z miejsca. Lud wierzy, że konie widzą ducha zmarłego. Wróży to śmierć kogoś z bliskiego otoczenia.

„szkapa ani rusz. Nie checała posunąć się z mnięscio
Tej jem zboceł zaro z drodzi, bojac się nieszczesio.
Konie swoje zem scierowol w prawą, gdzie dąbrowa
I zem pędzel w stronę Kartuz, mniast do Kożeczkowa...“

Tutaj zapadła decyzja o losie Czorlińskiego. „Zle ju tego checało...“ Czarownica sprawiła, że wiatr zerwał mu z głowy kapuzę, na którą czyhał wilk (bies) w lesie. Zeżari mu muce. Tym zbiegiem okoliczności dostaje się nasz rybak w ręce żydka czapnika — Szmula.

Czorliński ulega namowom czapnika i handlujących żydków, aby ich zawiózł na jarmark do

Conowa. Dodana Czorlińszemu do wynagrodzenia muca wydała mu się podejrzana:

„Ale ciężko bela, jakbem centner mniol na głowie
Jo nie wiedzoł, co to belo, cze to ubzdurzenie,
Cze gdzie urok, czy omąna, cze boście zdarzenie.“

Wiara w „zadawanie“ uroku dotąd jeszcze pokutuje u ludu. Derdowski zrobił z tego przesady węzeł nieporozumień i komplikacji. Siły nieczyste powodują, że Czorliński jedzie do Conowa okrężną drogą przez Przodkowo. Jadąc przez dąbrowę musiał słuchać wrzasków czarnych kraków, niesamowitego szumu lasu. W Kobysewie sam Czorliński złośliwie spowodował przewrócenie się sani, w rezultacie czego Bartek wpadł do studni.

W Conowie Czorliński został aresztowany. I byłby się dłużej poniewierał, jako ofiara czarownika (Ze nie Pan Bóg, ale czare rządzą mojim losem), gdyby jego żona nie wybrała się na odszukanie męża, pouczonej przez zakonnikę w Wejherowie, że:

Chłop twój ostol omąniony bez czopnika Szmula,
Ten mu wlozeł do kapuze pieczelnego mula
Poci on się ty przeklęty muce nie pozbedze,
Poty, jak po piekle Marek wiedzno tuc się będze.

Żona wyjawiała mężowi, który w Krokowie bawił się na weselu, że ma piekielnego mula — przyczynę niedoli w kapuzie:

Białka zaro we westrzodku futer w ni rozpruła
I czornego z ni roboka wnetko werzucela
Robok ten mniol trze jaż głowe, nogów mniol szesnosce
A przenamni sedem palcy mniierzel so dlugosce.

W skaraniu bożym, jakim była niewinna śmierć Bartka i czarownika, w zemście Czorlińskiego na Szmulu, który z tego powodu popełnił samobójstwo — wyraża się również wiara ludu w zasłużoną karę za szkoderstwo ludziom przy pomocy czarów i diabła — Smętkę:

i przeleceł do przeręble prawie w samą porę
Zabroł czorną duszę i z nią gnoł na Łesą Górę

Tragizm wiary w czary znalazł również odzwierciedlenie w wpiecionym w opowiadanie Czorlińskiego zdarzeniu, jak to hełanie w roku 1836 rozprawili się z czarownicą.

Tym przesadom i wierze w moce nieczyste ludzi, będących na usługach diabła, Derdowski wystawił wspaniały pomnik literacki. Jednak literackość z przeważającą motywacją irracjonalną, ukształtowała dzieło o tonacji, jak pisze sam poeta: „Jedno smnioc się wama będze dredzie plakac lice...“ — czyli komicznej.

Z panem Czorlińszym związany jest jeszcze problem Smętki. Demonologia kaszubska została tutaj — rzecz zrozumiała — bardzo zawężona do postaci diabła w kilku odmianach i do More oraz Smętki. O Smętku wiemy, że nie był diabłem. I w tym wypadku Derdowski zełgał walenie.



Rybacy wyjeżdżają na połów na jezioro wazyżkie

Fot. ADAM PODLEWSKI

Lech Bądkowski

Krótki rachunek sił i możliwości

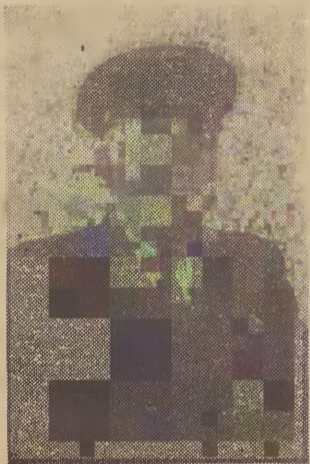
U tworzenie organu Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubskiego (chwilowo miesięczne wydanie specjalne, a w bliskiej przyszłości stały tygodnik) stanowi ważne wydarzenie w życiu społeczno-kulturalnym Kaszub i całego Pomorza. Prawdopodobnie dziś jeszcze nie zdajemy sobie sprawy z jego doniosłości, która zresztą będzie zależała od tego, jaki charakter, jaką powagę i jaki zasięg potrafią zapewnić piśmiennictwu, grono współpracowników i najszerze rzesze czytelników. To jednak jest pewne, że przed piśmiennictwem stoją ogromne możliwości. Powstanie „Kaszëb” trzeba uznać za największe dotychczasowe osiągnięcie Zarządu Głównego ZK. Obowiązkiem każdego z nas jest dołożyć wszelkich starań, aby piśmiennictwo to rozwinęło się jak najpomyślniej.

Ci co znają dzieje Kaszub i orientują się w obecnym ich stanie wiedzą, że nasze życie umysłowe cechuje zastój i zacofanie. Złożyło się na to wiele przyczyn, o których teraz nie będziemy mówili, sam fakt jest jednak niewątpliwy i wymaga przeciwdziałania. Na szczęście istnieją u nas siły, które od dawna, chociaż ze zmiennym powodzeniem, pracują nad unowocześnieniem i pobudzeniem kaszubsko-pomorskiego życia umysłowego. Zadanie to jest niezmiernie trudne, bo w jego wykonaniu przeszkadza nie tylko brak dostatecznej ilościowo i odpowiednio przygotowanej kadry oraz szczupłość środków materialnych, ale także konserwatywizm znacznej części społeczeństwa.

Słowa te może są przykre, ale muszą być powiedziane, abyśmy wiedzieli, w jakich warunkach pracujemy. Powinny też stanowić bodziec dla działaczy społecznych i kulturalnych do wytyczenia sił w pracy nad rozbudzeniem ambicji społeczeństwa kaszubsko-pomorskiego.

Jednym z najważniejszych czynników życia umysłowego

jest słowo pisane, a więc literatura i piśmiennictwo. Dlatego właśnie w tej chwili największą uwagę skupiamy na tym zagadnieniu. Jeśli chodzi o piśmiennictwo — własny tygodnik, to jest wszystko co na razie możemy dla siebie zdobyć i co też na razie może nam wystarczyć. W tym tygodniku musi znaleźć się miejsce dla aktualnych spraw społecznych, gospodarczych, kulturalnych Kaszub i Pomorza, dla spraw organizacyjnych Zrzeszenia Kaszubskiego, dla oryginalnej twórczości literackiej i dla lekkich materiałów rozrywkowych. Możemy i powinniśmy już teraz znacznie ożywić ruch wydawniczy. Potrzeba nam wielu książek, przy czym literaturę tę możemy z grubsza podzielić na dwie grupy: popularną, przeznaczoną dla masowego odbiorcy, i trudniejszą, przeznaczoną dla czytelnika o pewnym przygotowaniu. Do pierwszej grupy zaliczam wszelkiego rodzaju gadki, frantówki, proste wiersze, pieśni, łatwe utwory sceniczne.



Augustyn Necel

Do drugiej — nowelę, powieść, poezję, dramat. Należy położyć silny nacisk na konieczność wczesnego wydawania pozycji należących do tej drugiej grupy. Szybko rosną szeregi czytelników kaszubskich, którym już nie wystarczy gadki i frantówki, którzy do magają się poważniejszej literatury, a nie znajdując jej w piśmiennictwie kaszubskim — odwracają się od niego. Dlatego nie zaniedbujmy literatury popularnej — a jednak w ostatnich latach ukazywało się trochę takich utworów i w prasie i w książkach — trzeba już teraz pomyśleć o wznowieniu „Remusa” Majkowskiego, „Nowotnych śpiewów” Karnowskiego i innych wielkich pozycji literatury kaszubskiej oraz o publikowaniu nowych dzieł współczesnych autorów, nawet gdyby publikacje te były deficytowe.

Pragnę tu zaznaczyć, że do literatury kaszubsko-pomorskiej zaliczam wszystko to, co tworzone jest w kręgach tradycji, kultury i umysłowości naszego społeczeństwa, niezależnie od języka: po kaszubsku, po polsku, a także — jeśli chodzi o dawniejszą literaturę — po niemiecku.

Nasz zastęp ludzi piszących nie jest bardzo wielki, ale może on podołać zadaniu. Pięć osób (Jan Piepka, Jan Staszko, Jan Piepka) są powszechnie znani, ostatnio znów odezwał się wartościowy poeta Jan Trepczyk, a niewątpliwie da o sobie znać także Jan Rompski, znany z dawnych lat. Zapewne przyłączy się również Augustyn Necel, autor dwóch cennych pozycji: „Kutry o czerwonych żaglach” i „Saga o szwedzkiej checzy”, który do tej pory raczej stronił od wspólnej pracy dla dobra literatury kaszubskiej. Czekamy na nowe utwory X Bernarda Sychty i kilku innych, starszych i młodszych literatów. Do tego zastępu doliczyć trzeba kilku literatów pochodzenia nie kaszubskiego, którzy jednak wzięli się w naszą kulturę i twórczością swą pomnażają jej skarbnicę. W sumie — siła wcale nie mała.

Trochę gorzej przedstawia się sprawa w dziennikarstwie. Ale i tu, pomimo tak niekorzystnych dla nas stosunków w dotychczasowym okresie, nie ma powodu do rozpacz. Oprócz trójki redaktorów „Kaszëb” mamy Rajmunda Bolduana, Alfonsa Trzebiatowskiego i kilkunastu doświadczonych już korespondentów prasowych.

Gdzie obecnie możemy drukować? Jeśli chodzi o wydawnictwa współpracujemy z Ludową Spółdzielnią Wydawniczą (wydala jedyne po wojnie 2 książki kaszubskie, obecnie przygotowuje trzecią), z nowopowstałym Wydawnictwem Morskim (wydaje w tym roku jedną książkę, planuje szereg następnych) oraz z Wojewódzkim Domem Twórczości Ludowej, który systemem rotaprintowym opublikował parę pozycji świetlicowych i przewiduje następne. Jeśli chodzi o prasę — opieramy się oczywiście o nasz własny organ i w pewnym stopniu o „Dziennik Bałtycki”, który od czasu do czasu drukuje utwory kaszubsko-pomorskiej literatury, zresztą obecnie znacznie mniej niż dawniej.



Franciszek Sędzicki

Wszystko to nie jest wiele, ale wystarczy, aby rozpocząć poważną działalność, która może szybko się rozwinąć, jeśli całe nasze społeczeństwo udzieli jej należytego poparcia.

„HANESK”

Ostatnio ukazała się druga książka (nie licząc tomu poezji i prozy wydanego wspólnie z L. Ropplem), młodego pisarza kaszubskiego Jana Piepki.

„Hanesk” — to według pierwiąt trylogii mającej zobrażać sceny batalistyczne na San Domingo, czyli to tylko po kronikarsku — sucho, informacyjnie. U Piepki jest podobnie. Jest jednak o tyle w gorszej sytuacji od autora „Kutry o czerwonych żaglach”, że usiłuje być nie kronikarzem a powieściopisarzem.

Ta odmienność sytuacji zobowiązuje Jana Piepkę do tego, by fragmenty akcji dziejącej się poza Kaszunami nie były suchą kronikarską relacją; by na przykład sceny w dworze von Krausa, sposób myślenia tego człowieka były inne, niż u gburka. Główny bohater książki Hanesk to postać naszkicowana nie wątpliwie w sposób przekonujący. Widać, że autor doskonale zna psychikę ludzi tego środowiska.

Natomiast tam, gdzie wypada psychologicznie umotywowane postępowanie wykształconego człowieka, pisarskie pióro słabnie. Przypomina mi to zarzut jednego z recenzentów utworów Andrzejewskiego, któremu wytykał nieprzekonywające psychologiczne umotywowanie postępowania tego bohatera robotniczego pochodzenia, wynikające z niedostatecznej znajomości tego środowiska. U Piepki

Natomiast fabuła powieściowa słabnie z chwilą, gdy ze strony znika dialog, gdy autor przechodzi do własnego komentarza. Wtedy Piepka — gawędziarz nie przemienia się w powieściopisarza, ale brnie dalej jako kronikarz. Franciszek Fenikowski we wstępie do „Sagi o szwedzkiej checzy” żaluje, że Necel opisując sceny batalistyczne na San Domingo, czyni to tylko po kronikarsku — sucho, informacyjnie. U Piepki jest podobnie. Jest jednak o tyle w gorszej sytuacji od autora „Kutry o czerwonych żaglach”, że usiłuje być nie kronikarzem a powieściopisarzem.

Ta odmienność sytuacji zobowiązuje Jana Piepkę do tego, by fragmenty akcji dziejącej się poza Kaszunami nie były suchą kronikarską relacją; by na przykład sceny w dworze von Krausa, sposób myślenia tego człowieka były inne, niż u gburka. Główny bohater książki Hanesk to postać naszkicowana nie wątpliwie w sposób przekonujący. Widać, że autor doskonale zna psychikę ludzi tego środowiska. Natomiast tam, gdzie wypada psychologicznie umotywowane postępowanie wykształconego człowieka, pisarskie pióro słabnie. Przypomina mi to zarzut jednego z recenzentów utworów Andrzejewskiego, któremu wytykał nieprzekonywające psychologiczne umotywowanie postępowania tego bohatera robotniczego pochodzenia, wynikające z niedostatecznej znajomości tego środowiska. U Piepki



Stanisław Żukowski — Powrót z polowu. Drzeworyt

Historia „Szewca Królewskiego”

Król Jan Sobieski bawił na Kaszubach, w Rzućewie nad morzem i przy sadzeniu lip, które tam jeszcze dzisiaj rosną, słuchał muzyki, dobiegającej z wesela kaszubskiego, odbywającego się w pobliżu. Nie upłynęło wiele czasu, gdy król Sobieski był już na weselu. W tym czasie goście tańczyli „szewca”. Ten taniec tak mu się podobał, że chwycił pannę młodą i dalej z nią owego „szewca”.

Wszystkim obecnym, aż się gęby pootwieraly z wrażenia i zachwytu. Radości i krzykom nie było końca. Na pamiętkę wydarzenia, że sam król Sobieski tańczył kaszubskiego „szewca”, taniec ten nazwano „szewcem królewskim”.

(IV Deżynki Kaszubskie w Gdyni - Cisowej, 1939 r.)

ki, odwrotnie biorąc, sytuacja jest podobna, z tym, że potknięcia są daleko poważniejsze.

Słowem, tam gdzie autor opisuje sprawy mu nie obce, kaszubskie, tam jest przekonujący, tam gdzie kończy się świat kaszubskiego chłopca, tam pisarskie pióro jeszcze nie potrafi sprostać zadaniu.

Słabość Jana Piepki, jako powieściopisarza uwidacznia się również w samej konstrukcji powieści. Autor w swojej dość grubej książce nie ogranicza się do fabuły jednowątkowej. Na taką może sobie pozwolić pisarz o wielkim talencie i rutynie. Jednak u Piepki wątki powieściowe są nierówne — boczne znacznie słabszo niż główny. Niekiedy brak ich w ogóle tam, gdzie byłoby konieczne dla realistycznego przedstawienia zdarzenia, dla przekonania czytelnika.

Ogólnie biorąc najciekawszą są rozdziały końcowe, bogate w wydarzenia. Rozdziały poprzednie tego bogactwa epizodycznego nie mają; nie mają tyle ciekawych spiętych sytuacji. Stąd autorowi trudno utrzymać czytelników w napięciu.

Osobne zagadnienie to sprawa języka. Osobiście jestem przeciwnikiem „kaszubienia” polszczyzny, tak ze względów komunikatywnych, jak i estetycznych. (W „Hanesku” nie znajduję narzęcza czytelnik nie rozumie wiele). Moim zdaniem należy pisać bądź konsekwentnie po kaszubsku, bądź po polsku, wpiatając jednak od czasu do czasu w dialogi zdania kaszubskie.

Wydaje mi się, że Jan Piepka jest i pozostanie przede wszystkim dobrym poetą i stylizującym gawędziarzem. Obie książki są cenne jako nieliczne pozycje wprowadzające do literatury polskiej problematykę kaszubską. Waiory powieściowe schodzą na dalszy plan. Sądzę jednak, że talent powieściopisarzowski w Piepce tkwi i że w dalszych książkach wyjdzie na plan pierwszy.

JAN KIEDROWSKI

Panienka z gdańskiego okienka

W gdańskim okienku, imię pan Kazimierz Korycki, oficer Wodnej Armaty, ujrzał po raz pierwszy pannę Hedwigę, do której zapalał wielkim afektem. Historia tej miłości znalazła wiernego kronikarza w Deotymie (Jadwidze Łuszczewskiej). Potrafiła ona na kartach książki, szczęśliwie przeprowadzić swoich bohaterów między tysięcznym przeszkodami, jakie zwykle stawia los na drodze zakochanych.

Trzecie wydanie tej uroczej powieści, drukowanej nakładem „Naszej Księgarni” W-wa 1957, jest już w sprzedaży. Cena 10 złotych. (I. P.)

JAN
KARNOWSKI

MOJA DROGA KASZUBSKA

Przed setną rocznicą
urodzin
FRANCISZKA SZORNAKA

Z kaszubszczyzna zetknąłem się jeszcze jako chłopek w gimnazjum w Pelplinie. Uczniowie tej uczelni pochodzili z różnych stron Pomorza, a w szczególności z Kaszub i Kociewia. Typ Kaszubów i Kociewiaków występował szczególnie w niższych klasach, gdzie nauka polskiego nie zdołała mowy potocznej jeszcze wygładzić i „spolszczyć” — występował z wielką wyrazistością. Typ kaszubski był oczywiście wartościowany niżej i często wyśmiewany dopóki się nie zasymilował z „polskim” ogółem. Mimo tej asymilacji byli uczniowie, którzy w tercjii jeszcze nie zdołali pozbyć się swej rubasznej kaszubskości. Pamiętam niejakiego Hinca ze Smółdza (pow. morski), który w rozmowie potocznej tylko mówił po kaszubsku, i to w tercjii nawet — i wskutek tego uchodził za oryginalną. Ta podrzędność kaszubszczyzny dała mi dużo do myślenia, gdy byłem uczniem kwarty. Nie wiem jakim sposobem dostał się do naszych rąk utwór Majkowskiego „Jak w Koscerznie kościelnego obrele...”, który kilka lat przedtem był się ukazał. Zda je się, że przywiózł go Stach Czarnowski z Orlika (dziś w Strzepowie — W. Miasto Gdańsk).

Czytanie tej beztrudnej, pięknej, humorystycznej epeji odbywaliśmy wspólnie (Stach Cz., Bolesław Piechowski i ja). Choć dla strony estetycznej wtenczas jeszcze nie mieliśmy zrozumienia, jednakowoż porwała nas swojskość, komizm i plastyka tego dzieła. Piechowski był przez matkę dalekim krewnym Jarosza Derdowskiego i w jego rodzinie żyła jeszcze żywa pamięć o nim (aczkolwiek nie zanadto chlubna). Po feriach przywiózł on utwór Derdowskiego „Jak Pan Czornolęca do Pucka po sece jachol”. Wspólne czytanie odbywało się dalej. Dziś już nie pamiętam, jakie wrażenie „Czornolęca” na mnie wówczas wywarł. Ale zdaje mi się, że jego groteska mnie nieraz zrażała. Dla Derdowskiego dopiero później, w wieku dojrzałym nabrałem zrozumienia. Ta zabawa na niwie młodej literatury kaszubskiej poruszyła mnie w głębi duszy i zapaliła mo-

ją fantazję. Nagle powstała u mnie myśl napisania historii kaszubskiej i rzeczywiście zabrałem się do tego z iście chłopięcą nieświadomością. Zachował się nawet jeszcze rękopis, zawierający pierwsze rozdziały tej „niby” historii. Nie ma ona oczywiście żadnej wartości, nie stoi nawet na poziomie przeciętnego szkolnego wypracowania, a co do formy i ortografii, nieraz mocno szwankuje. Ale jest ona ciekawym dokumentem własnej ewolucji. Dawno o tym fakcie zapomniałem, ale przypomniał mi go nieraz później dawniejszy współpracownik Bonifacy Chmielewski, który później był redaktorem „Postępu” w

tem się wtenczas na dobre o piękności i sile języka kaszubskiego*) i jego zdolnościach rozwojowych. Jeszcze jako uczeń gimnazjum miałem okazję mówić na ten temat z wówczas młodym księdzem Wysinińskim (obecnie prałatem w Toruniu). Ks. W. wtenczas negował zdolności języka kaszubskiego szczególnie w dziedzinie lirycznej, powołując się na mało znane wówczas jeszcze „Spiewe i frantówce”. Być może, że już wtenczas powstała myśl własnej wędrówki na parnas kaszubski i próbowanie liryki kaszubskiej.

Szkoda, że tej sztuki dziś już autor odnaleźć nie może. Ja sam wtenczas jeszcze nie myślałem o tym, żeby spróbować pisać po kaszubsku, chociaż ćwiczyłem się w wierszowaniu polskim i niejednemu wierszykowi „zgrzeszyłem”. Najlepszym dowodem z tego okresu romantycznego jest moja „Niechwarzanka”, nieudolne naśladowanie Mickiewicza, a szczególnie jego „Świętynki”.

Jeszcze o jednym fakcie kaszubskim należy tutaj wspomnieć. W roku 1906 brałem udział razem z kolegą Bł. Piechowskim w wycieczce gimnazjalistów b. zaboru pruskiego do Krakowa. Było nas „Zachodnioprusaków” wtenczas 18. Poznaniaków 17. Ślązaków (dużych i małych) coś 12, a Berlinaków 4. Niejednokrotnie zaznaczyły się antagonizmy między Poznaniakami i nami. Zaś ze Ślązakami zgadzaliśmy się doskonale. Razu pewnego odbyliśmy wspólną wycieczkę do mogiły Wandy. Zaskoczył nas w marszu deszcz i zmoczył nas porządnie. W miasteczku „Mogiła” odpoczęliśmy w pewnej propinacji. Nasz opiekun prof. Balicki kazał postawić węgryzna. Raczyl się nim przeważnie Poznaniacy i było im bardzo wesoło. Nam, „Zachodnioprusakom”, nie było wcale wesoło. Nie mogliśmy znieść tego postępowania i zaśpiewaliśmy chórem marsza kaszubskiego „Tam gdzie Wisła od Krakowa...”. Balicki natychmiast poznał się w sytuacji i starał się sprawę naprawić, co oczywiście mu się jak najlepiej udało, gdyż nie zmierzaliśmy do pogiębienia różnic dzielnicowych i do tego w sposób dziecinny i nieużyteczny. A jednakowoż fakt ten i jeszcze inne drobniejsze dały Balickiemu, a przede wszystkim prof. Jordanowi dużo do myślenia. Gdy już mieliśmy odjeżdżać, posłała delegacja naszej wycieczki do niego z podziękowaniem. Wtenczas prof. Jordan wyraził jej swe wątpliwości, czy w ogóle się zaleca wycieczki te kontynuować dalej, gdyż zachodzą między dzielnicami niepożądane tarcia. Odpowiedzieliśmy, że tarcia te są objawem zupełnie naturalnym i było by raczej rzeczą dziwną, żeby ich nie było. Ale wycieczki łączą; najlepszym dowodem są przykłady zadzierżniętej przyjaźni między członkami różnych dzielnic.

Czytaj: narzecza kaszubskiego (red.)

„O ile Majkowski był twórcą i przywódcą ruchu młodokaszubskiego, Karnowski był jego mózgiem; Majkowski wytyczał drogę, Karnowski ją teoretycznie i naukowo podbudowywał, uzasadniał oraz popularyzował” — pisze Andrzej Bukowski w „Regionalizmie Kaszubskim”.

Jan Karnowski, obok Majkowskiego był filarem ruchu młodokaszubskiego i współpracownikiem wydawanego przed I wojną światową „GRYFA”. Kiedy i jak ukształtowało się jego pisarskie oblicze i świadomość przynależności do szczepu kaszubskiego — podaje Karnowski w autobiografii pt. „Mo-



ja droga kaszubską”. Dziś drukujemy I rozdział pamiętnika, który Karnowski zaczął pisać w 1933 roku.

Poznaniu, i zmarł jako redaktor „Dziennika Chojnickiego” w Chojnicach.

Po tej pierwszej młodzieńczej próbie dalej kaszubszczyzną lub literaturą kaszubską się nie zajmowałem, gdyż pochłonięty w zupełności czar polskiej poezji romantycznej, w szczególności poezje Adama Mickiewicza, praca w tajnej organizacji filomackiej w Chojnicach, wreszcie literatura niemiecka (Goethe) i hebrajska (sztuka grecka). Ale jednakowoż od czasu do czasu z kaszubszczyzną się stykałem.

Wielkie wrażenie wywarły po wydrukowaniu „Spiewe i frantówce” Majkowskiego. Przekona-

Kaszubszczyzna była wdzięcznym tematem na schadzki naszych gimnazjalnych w Brusach. Koledzy mci dawali nawet przedstawienia teatralne, gdzie wystawiali sztuki własnego wyrobu. Autorem ich był właśnie mój kolega, Bolesław Piechowski z Kosobud, który wtenczas uczęszczał do gimnazjum w Świeciu. Pamiętam dokładnie, że wystawiono dwie. Jedną z nich zajmowała się właśnie Derdowskim i przedstawiała w sposób humorystyczny powrót Derdowskiego z Włoch. Głównym aktorem był Józef Cabański — poległ jako oficer w wojnie światowej r. 1915 pod Nidą. Władał on doskonale językiem kaszubskim i tu i tam wsuwał do tej sztuki kaszubskie intermedia, co oczywiście przyjmowano z wielką wesołością.

Na chsztołt przedmowe

Zebëm jò wiedzòł, jaką tész piesznią
Cèché te borè szepcą...

Zebëm jò rozmniòł frantówka wczesną
Czedë jà skowrónk zwóni —

Zebëm jò uzdrzòł w jezora grunè,
Co tész tam wiedno płacze —
Przed czym sę lèkò biòluchné stùnce
W zapadłym kniejn nòrcè...

Zebë mnie w duszë cechuszko grałë
Nótë muzèczy Lali —

Zebë mnie w złotą bójkę sę stalë
O dównèch dzejach gòdczy,

Zebëm jò bòczët nad swiatem spiącym,
Jak czë ten mniesądż blady —
To jò bëm spiewòł glosem zgrzmniącym
Spiewë tobie kraju mój!
Spiewë wielgą, spiewë dówną
Zobòcząq, ale słówną —

Srèbną tęczą bëm opasòł zemnië
I jak deszcze w zèzny mój
Sòtbëm wszëde pieszni semnië.

WÓŚ BUDZYSZ

NOWY KONKURS

Zapewne nie jeden z Was słyszał od matki, babci, czy pradziadka, co to się w dawnych czasach działo. Jakie to dziwne powtarzali sobie knôpi i bićki, plotąc koszyki czy sieci przed checzą. Hi storie były przedziwne, jedne zabawne inne fantastyczne, wręcz niewiarygodne. Nie które z nich spisali uczeni ludzie na papierze, inne prze trwały tylko w słownych opowiadaniach.

Wielu z Was zasłyszało niejedną taką historyjkę, legendę czy bajkę. O ile znajdzie się chwila wolnego czasu, weźcie papier i pióro do ręki, usiądźcie przy stole i napiszcie.

Ciekawsze historyjki i legendy wydrukujemy w naszym piśmie. Oprócz tego uczestników konkursu czeka wiele miłych nagród.



Na Kaszubach znaną była niegdyś i powszechnie uprawianą sztuka malowania na szkłe. Dziś za ledwie od czasu do czasu niewielu artystów ludowych chwyta za pędzel i próbuje wskrzesić dawną piękną tradycję. Jednym z nich jest Alojzy Bendik z Otomina koto Zukowa. Na zdjęciu: obraz malowany przez A. Bendika.

Foto: FERSTER

Tegoroczne Święto Morza upłynęło pod znakiem radości, defilad i zabaw. Oglądaliśmy popisy plewnurków, walki korsarskie i ćwiczenia marynarzy. Cała Gdynia była jednym wielkim polem zabaw.

Imprezy wieczorne zgromadziły przy gdyńskiej muszli setki ciekawskich. Raz po raz zjawiały się na scenie dwubarwne kolnierz marynarskie, kolorowe stroje regionalne, czasem toalety wieczorowe. Melodyjne piosenki niemieckie grała orkiestra z NRD. Chwila przerwy... zmiana zespołów... i z estrady rozbrzmieła kaszubska piosenka „Wide, wide, wita”. Wśród słuchaczy lekka konsternacja. Serdeczne uśmiechy. Z boku ktoś mówi: — Przecie to po naszymu. Jedna piosenka, za nią druga, trzecia. Część z nich jest znana, inne nowe, słyszane po raz pierwszy.

wykształcenia muzycznego, ani choreograficznego. Jesteśmy trochę samoukami. Poza tym przecie pracujemy. Śpiewamy i tańczymy poza godzinami pracy. Jest to nasz wypoczynek i rozrywka.

W ładnym drewnianym domu przy ul. Szkolnej 13, zespół ma swoje stałe lokum. Tutaj, w poniedziałki i czwartki, odbywa się próba. W świetlicy można urządzić potańcówki, poczytać książki (biblioteka ma 2 tys. tomów), zagrać w warcaby.

Przed paru miesiącami kierownictwo tartaku i Rada Zakładowa, postanowiły odnowić świetlicę. Trzeba było podnieść scenę w sal' widowiskowej, zmienić oświetlenie i wentylację. Obecnie prace są na ukończeniu. Świetlice postanowiono urządzić w stylu kaszubskim. Zapowiada się, że będzie bardzo ładna.

szubów. Odbywało się to bardzo „uroczyście” na niedzielnych wycieczkach.

— Nasze początki były skromne — opowiada Jutka Szpreng, jedna z konferansjerów zespołu. — Nie mieliśmy repertuaru, strojów, ani instrumentów. O wszystko musieliśmy troszczyć się sami. Piosenki zbierała p. Czarnowska, odwiedzając pobliskie wsie nad Jeziorem Wdzydzkim. Śpiewaliśmy piosenki tylko jednogłosowe. Stroje szyłyśmy i haftowałyśmy same. Na ich kupno nie było pieniędzy.

— Proszę sobie wyobrazić nasze zdziwienie i radość, gdy na Eliminacjach Zespołów Artystycznych zdobyliśmy I miejsce, najpierw w Czersku, później w Chełmnie i Bydgoszczy, na eliminacjach wojewódzkich. Był to okres przedfestiwalowy. W niedługim czasie, bo w maju 1955 r.



Pamiętkowe zdjęcie zespołu z Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Lipiec 1955 rok.

Tańczą i śpiewają

Wszystkie urzekają melodyjnością, są rzuwne, innym razem skoczne i złośliwe.

Zespół nie tylko śpiewa, ale i tańczy. Posuwistym krokiem, może nie zawsze składnym, pary tańczące przemierzają parkiet, rozbiegają się w przeciwnie strony, wracają do siebie. Taniec jest swobodny, twarze uśmiechnięte, zadobcone. Nic dziwnego. Wystarczy usłyszeć brawa po każdym numerze, aby wiedzieć, że występ podobają się. Gości z głębi kraju interesują kaszubskie stroje. Takich jeszcze nigdy nie widzieli.

Występy Zespołu Pieśni i Tańca „Kaszuby” z Czerska dostały dużo braw. Podobają się wszystkim. Były nowością również dla wielu tutejszych mieszkańców.

Mamy więc nowy zespół — „Kaszuby”, tak jak w innych regionach „Mazowsze”, czy „Śląsk”.

— Ale nie, to nie to samo — mówią członkowie zespołu — gdy w parę dni po występach rozmawiam z nimi na dziedzińcu czerskiego tartaku. — Nasz zespół jest amatorski, nie mamy

O początkach zespołu dowiadujemy się z „Kroniki”. Założycielka i kronikarka zespołu, Teresa Czarnowska, upamiętniła to wydarzenie serią zdjęć, stawiając datę: lipiec 1955 rok:

— Na początku byłam sama, trochę w nieodpowiednim stroju (tańczy w wąskiej sukience).

— Jesteśmy już dwie.

— Tak jak tego kolega, witaliśmy wszystkich wstępujących do zespołu (chłopak przy drzwiach, grupka osób wita go oklaskami).

— Jest nas już gromadka. I tak powoli z małego, kilkusobowego zespołu, który śpiewał i tańczył na miejskich akademiach i różnych uroczystościach, powstał duży, żyty zespół.

Szczególnie dużo nowych osób wstąpiło do zespołu na początku 1955 roku, gdy przedstawiono się na pieśni i tańce kaszubskie. Od tego czasu zespół przybrał nazwę „Kaszuby”. Nie dziwnego, przecie wszyscy jego członkowie są Kaszubami. Tych kilkoro, którzy pochodzili z innych części Polski, ale chcieli być w „Kaszubach”, zespół „przechrzcil” na Ka-

„Kaszuby” znalazły się w Wrocławiu, na Ogólnopolskich Eliminacjach Zespołów Świetlicowych.

— Byliśmy przerażeni — wspomina p. Jutka. — Inne zespoły miały bogate, złotem wyszywane stroje, piękne korałe, równe bućki. My przyjechalśmy w naszych starych, własnoręcznie szytych strojach.

— Dziwiono się: — To wy same wyszywałyście serdaki? Pewno nie macie nawet własnej

czerskie „Kaszuby”

garderobianej? Niestety, nie miałyśmy. Zespół nasz był duży. Liczyliśmy wtedy 100 osób, ale za chowywaliśmy się tak, jakby nas wcale nie było. Bez krzyku i reklamy.

— Nowa niespodzianka. Wytypowano nas na Festiwal. Nasz program składał się z pieśni i tańców kaszubskich. Słowo wiążące powierzyliśmy doktorowi Bruskiemu. Mówił dowcipnie, ciekawie. Mieliśmy powodzenie u widzów.

Ktoś z boku wtrąca: — Na Festiwal pojechaliśmy już w nowych, pięknych strojach. Załóżcież się o nas CRZZ.

W tym samym roku zespół odwiedził raz jeszcze Warszawę, we wrześniu na Dożynkach Centralnych.

głosów. Profesor sam opracował melodie na głosy.

Zespół taneczny kierowany przez Teresę Czarnowską, w ostatnim czasie przejęła Teresa Mieszewska. Instruktorem siedmioosobowej kapeli jest Leon Freitag.

Do niedawna zespół „Kaszuby” liczył przeszło 100 osób. Ze względu na trudności transportowe zmniejszono skład do 80. Cóż z tego, kiedy to i tak spora grupa. Gdy przyjdzie do wyjazdu na występy, nie ma czym, a przede wszystkim nie ma za co jechać. Pociągami za drogę, samochodu własnego nie mają, a pożyczyć bardzo trudno. Kierownictwo zespołu zawiera więc umowę z zapraszającymi: — Wy dacie samochody do przewiezienia zespołu,

a my wam urządzimy występ. Cóż, na takim „interesie” nie wiele się zarabia. A pieniądze są ciągle potrzebne. Trzeba przecie podzelać bućki, odfarbować spódnice, czy kupić nowy instrument.

Plany na przyszłość? Jest ich dużo. Zdaniem prof. Ostrowskiego trzeba przede wszystkim oddzielić od siebie zespoły chóralny i taneczny. Wiele jest osób, które śpiewają i tańczą. Jest to bardzo uciążliwe i nie wychodzi na dobre, ani jednemu, ani drugiemu zespołowi.

W swoim dorobku artystycznym zespół ma wiele pięknych pieśni i tańców kaszubskich. Śpiewają i tańczą rzeczy znane,

odgrzebuja z zapomnienia dawne, zapomniane melodie. Młodzi i starsi są pełni zapału. Chcieliby zrobić jak najwięcej. Kochają swą kaszubską mowę i pragną za pośrednictwem piosenek za poznać z nią cały kraj. Pokazać, jak piękne rzeczy potrafi tworzyć kaszubski lud.

W tej chwili zespół ćwiczy „Wesele kaszubskie” ks. Bernarda Sychty. Już niedługo spodziewana jest premiera. Na razie zespół ćwiczy. Chór przyspiewuje pannie młodej:

Dzieweczko Haneczko
Boczaż tej na se
Ciej se chcesz żenic
To na wieczne czase.

J.P.



W Święto Morza na ulicach Gdyni. Występy się skończyły, można pójść na spacer.

BAJKA

STWORZENIE KASZUB

Kiedy Pan Bóg stworzył świat, przyjrzał się swemu dziełu i był bardzo zadowolony. Radowały się anioły i siły wily jego moc. Tylko jeden aniołek siedział smutny w kącie wspaniałej niebiańskiej sali. Był to Anioł Litości.

— Dlaczego się smucisz? — zwrócił się do niego Stwórca. — Czyż świat, który stworzyłem mocą boskiego słowa nie jest piękny?

— Jest nim — nieśmiało odrzekł anioł. — Ale jakże mogę być wesół, kiedy wzrok mój błądzi po niezliczonych polach piasku i kamieni pustynnej Kaszubii?

Po tych gorzkich słowach Anioł Litości rzucił się do nóg Stwórcy i błagalnie zawołał:

— O Pani! Czy nie masz choć trochę urodzajnej ziemi nadto?

I Bóg obejrzał się i wskazał na kawał pięknej ziemi. Była to urodzajna gleba i przezroczyste jeziora, cieniste drzewa i kwitnące krzewy, łagodne wzgórza i uroczę doliny.

— Weź to — powiedział Bóg — i uczyni czego serce twe zapagnie

Wówczas Anioł Litości wziął ów kawał ziemi i unieślił go w samym środku Kaszubii. Nazwał ten zakątek Rajem Marii Panny. Dziś ziemia ta znana jest jako Kaszubska Szwarcia albo Błękitna Kraina Kaszubów. Należy ona do najpiękniejszych zakątków Pomorza.

Nie tylko tradycyjny świątkarz...

18 lipca 1957 r. w małej helskiej szkole zwiędziłem wystawę osobliwości helskich. Między innymi zaskoczony zostałem eksponatami rzeźb w drewnie i glinie. Rewelacja!

Białe piaski nadmorskie wydały swego rybackiego artystę — kaszubskiego rzeźbiarza ludowego. O tym mówią stłoczone na stole wystawowym rzeźby, przedstawiające pracującą rybaczkę, czółno na wzburzonej morzu, wykonane z gliny i kilkanaście postaci ludzkich, wykonanych z drewna. Twórcą tych rzeźb jest Leon Golla, mieszkaniec Władysławowa

W kilka dni potem udałem się do Władysławowa. Mimo, że jest tam więcej Gollów (tak jak wielu jest Szomborgów, Netzlów, Kenkolów i Budziszów), ludzie od razu wskazują właściwy dom. Właśnie Leon „rebaczy i wycyna”

W wyobraźni widziałem starszka o mocnych, surowych rysach twarzy, lecz łagodnych, niebieskich oczach, na „liwku” choćczego przy checzy. Ku mojemu niemiemu rozczarowaniu przywitałem się z mężczyzną w sile wieku. Modre oczy, ogorzała twarz, nuskularne ręce... Tak, miałem przed sobą człowieka morza, w momentach tęsknie zadumanego.

gestykulującego, gdy mówi o swym ubocznym zajęciu.

„TO MOJE UPODOBANIE”

— mówi skromnie. Szybko nawiązałem rozmowę po kaszubsku. Mówimy właśnie o tym „u-



podobaniu”. Przekonałem się, że Golla jest z bożej łaski artystą ludowym. Wyraża się to w jego dątał skromnej — jak mówi — twórczości, w swoistej pasji poznawczej otaczającej go przyrody i ludzi, w realizm e ludowym

Ukończył 5 oddziałów szkoły podstawowej. Wojna, ciężkie warunki po wojnie, a przede wszystkim instynktowna samoobrona przed tym, co w ubiegłych latach wypaczało artyzm i oryginalność ludowego twórcy — kazaly mu stronić od szkoły plastycznej. Konserwatyzm kaszubski — powie ktoś. Ale w tym nie zatracił siebie.

Dziś Golla już nie myśli o studiach plastycznych. Skwapliwie jednak dąży do zgłębienia sztuki rzeźbiarskiej na własną rękę, poprzez którą odzwierciedla życie kaszubskich rybaków. To, co zdobył, zawdzięcza przede wszystkim obserwacji i mozolnej pracy nad sobą. A swojej twórczości, co jest godne podkreślenia, oddaje się wyłącznie w godzinach wolnych od pracy. Należy pomyśleć o tym, by zapewnić Gollu fachową opiekę, dającą mu możliwość pełnego poznania techniki rzeźbiarskiej.

Golla to nie tylko tradycyjny świątkarz; nie unika też motywów wziętych z fantazji. Ale dążność do realistycznego uimowania tematyki jest rysem zasadniczym w twórczości helskiego rzeźbiarza.

J. R

„Polski król w maciejówce”

O Pucku

(migawki)

NIEWIELE pamiętek po nim zostało. Jakąś ulicę nazwano jego mieniem... Zachował się również mały, czerwony domek w Gdyni przy ul. Starowiejskiej 30, w którym przeżył ostatnie lata, ten Wielki Syn Ziemi Kaszubskiej. Dziwnym trafem niszczycielska ręka wojny ominęła stary dom z piętrową nadbudówką. Pozostał więc jako rzeczowy dowód wspomnień o Antonim Abrahamie — propagatorze myśli polskiej.

W parę lat po śmierci, ziomkowie umieścili na nim pamiątkową płytę, na której wyryto słowa pełne najwyższego uznania i wdzięczności.

Pamięć zachowała się także wśród ludzi, którzy z nim żyli, wśród przyjaciół i towarzyszy. Pozostała ich jednak nieliczna garstka. Jednym z dawnych towarzyszy A. Abrahama jest JAN RADTKE — pierwszy wójt Gdyni. Mieszka on dziś w domu, który wybudował w 1912 roku i pamięta nasz port jeszcze z czasów, gdy Gdynia była rybacką wioską.

We wspomnieniach p. Radtkego i pamięci innych przyjaciół, sylwetka Abrahama pozostała jako wzór kaszubskiego patriotyzmu. Do informacji uzyskanych od pierwszego „ojca” Gdyni, dodamy jeszcze trochę swoich własnych wiadomości, aby chociaż szkicowo nakreślić sylwetkę tego Wielkiego Kaszuby.

Antoni Abraham urodził się 19 grudnia 1869 r. w osadzie Zadry w pow. wejherowski. Po śmierci ojca, mając lat 16, opuszcza dom rodzinny i szuka pracy. Po dłuższych poszukiwaniach Antoni pracy nie dostał, zgorzkniał i zawiedziony chwyta się czego bądź, byle zarobić na życie. Był więc dorywczo leśniczym, rybakiem, agentem handlowym, furmanem, murarzem, woźnym bankowym. W poszukiwaniu pracy objechał całe Kaszuby; ta podróż ostatecznie zrobiła z Abrahama działacza społecznego. Widział proces germanizacji Kaszub. Wypowiedział mu ostrą walkę. Wędruje więc po Kaszubach puka do chat, wyka ludziom do ręki „Gazetę Gdańską”, agitując słowami.

Elementarz, książka, gazeta,
To polskiego domu zaleta.

Zupełnie niespodziewanie zjawia się w Borach Tucholskich, w następnym dniu był już w Oliwie — wszędzie mówił o Polsce, przemawiał w gospodach i przed kościołem — tam, gdzie zbierali się ludzie. Wszyscy chętnie słuchali przemówień tego „potężnego Kaszuby” budzącego powszechny zachwyt.

Zandarmi bez przerwy deptali mu po piętach. Gdy w 1911 roku przemawiał na zebraniu w Redzie, policja wyważyła drzwi do sali, gdzie byli zgromadzeni. Abraham za „polską agitację” skazany został na 4 tygodnie aresztu. Po odsiedzeniu kary, jeszcze w tym samym 1911 roku, przewodniczył na wielkim wiecu w Zarnowcu. Zandarmi ponownie zakuli go w kajdany. W pewnym momencie Abraham krzyżuje nad głową zakutę w kajdany rękę, wypręża się i rwie łańcuchy. Do zgromadzonego zaś ludu woła:

— Jak prysnął łańcuch na moich rękach, tak wkrótce prysną więzy naszej narodowej niewoli!

Pomimo ciągłych prześladowań, Abraham nie zaprzestał swojej działalności. Za każdym razem, gdy wychodził z więzienia, spieszył na wiec, roznosił książki i gazety... Do 1914 roku władze pruskie wyczoły mu aż 40 procesów politycznych!

W roku 1919 Abraham przewodniczył wiecowi zorganizowanemu w Oliwie — wiecowi, który podjął następującą rezolucję:

„...żądamy i domagamy się, aby Pomorze z Gdańskiem do Polski przyłączone zostało. Ucisku narodowego, jak dotychczas, znieść nie możemy i wszystkimi siłami tak ducha, jak ciała, dążenie nasze poprzeć gotowimy. Nie ma Polski bez Kaszubów, Kaszubów bez Polski!”.

W tym samym roku 1919 w Wersalu pod Paryżem ważyły się losy Pomorza i Gdańska. Przedstawiciel Polski, Roman Dmowski, zajmował kompromisowe stanowisko. Nie proponował przyłączenia Gdańska do Polski, lecz okupację tego miasta przez mocarstwa zachodnie.

Oburzony takim stanowiskiem Abraham wraz z drugim Kaszubą, Tomaszem Rogają z Koscierzyny, wybiera się do Paryża. Podróż to nie była łatwa. Bez paszportów i odpowiednich funduszy, wędrowali od granicy do granicy. Przez sam pas graniczny przedstawiali się przemysłowym sposobem, którego autorem był naturalnie „polski król w maciejówce” czyli Abraham. Po zgodzie nadgranicznych gospodarzy, przebiegali się w ich koszule i spodnie, resztę podobieństwa dorabiali charakterystyczną, i wyruszali w pole do pracy. Naturalnie z „pracy” nie wracali, ale znalazłszy odpowiedni moment, przemycali się na drugą stronę granicy, i tak dojeżdżali do Paryża.

Po długich staraniach delegacja dopuszczona została przed oblicze prezydenta Wilsona i Lloyd George'a. Politycy zachodni sądzili, iż szybko pozbędą się upartych Kaszubów gornolotnym oświadczeniem, że Polska dostanie skrawek morza. Zawiedli się jednak, bowiem Abraham domagał się przyłączenia całego Pomorza wraz z Gdańskiem. Wtedy to na odpowiedź Wilsona, że przecież rząd polski rzekł się Pomorza, Abraham zapienił się gniewem, swoją potężną ręką trzasnął w stół i zawołał:



Starogard Gdański

*
Tablica pamiątkowa wmurowana ku czci

Antoniego
Abrahama

w ścianę domu, w którym spędził ostatnie lata życia.

*
*



— Na mój apel stanie 4000 Kaszubów olbrzymów jak ja (miał ok. 2 m wzrostu) i siłą zagarnie Pomorze! Pomorza nom ani kuspurt zabrać ni może!

Doczekał się więc Abraham Polski. Polski okrojonej i bez Gdańska. W pierwszych latach po wojnie był jeszcze czynny. Później odsunął się od spraw publicznych. Zaczął gorzknąć. Zawiodła go „wysniona” Polska, która nie przyniosła polepszenia pracującemu ludowi kaszubskiemu. Cóż z tego, że dostał order „Polonia Restituta”? W parę lat potem już się o niego nie troszczono. Zmarł w 1923 roku na raka żołądka. Ostatni okres przeżył w nędzy, której konsekwencją była ciężka choroba. W ostatnich dniach, gdy prawie był konający, rząd „zainteresował” się Abrahamem, przysyłając mu pół mln złotych, które wskutek inflacji na drugi dzień warte były kilka złotych.

Na własne życzenie pochowany został na oksywskim cmentarzu, skąd roztacza się piękny widok na morze. Do dziś na płycie grobowej, nieznanne ręce kładą świeże kwiaty.

WARCISŁAWA LICBARSKA

OD REDAKCJI: Osoby, które znały Antoniego Abrahama, lub słyszały jego przemówienia, prosimy o przekazanie swoich wspomnień do redakcji „KASZEBE”. O ile ktoś z tych czy innych powodów nie może ich napisać, niech przyśle swój adres. Pragniemy, aby wiadomości o nim było jak najwięcej. Do postaci tej wracać będziemy częściej.

Kociewiacy w walce z okupantem

RUCH oporu na Pomorzu gdańskim rozwijał się w niezwykle ciężkich warunkach. Żywił polski był bezwzględnie tępony w myśl nakazu Hitlera, rzuconego w dniu 1 września: „Die polnische Pest muss ausgerottet werden” (Polska cholera musi być wytępiona).

Wbrew przestrogom wodza III Rzeszy na Kaszubach i Kociewiu powstawały do walki z okupantem tajne organizacje bojowe. Były to organizacje partyzanckie, sabotażowe i patriotyczne, noszące nazwy: ZWIĄZEK JASZCZURCZY, CZY, GRYF POMORSKI, ORZEL BIAŁY, KOŚCIUSZKO itp.

Pierwszą organizacją konspiracyjną na Kociewiu był ZWIĄZEK JASZCZURCZY. Powołano go do życia w czerwcu 1941 roku, po wybuchu wojny między Niemcami a Związkiem Radzieckim. Założycielem ZWIĄZKU JASZCZURCZEGO był Izydor Gencza, występujący pod pseudonimem „Junak”. Pochodził on z Zelgoszczy w powiecie starogardzkim (obecnie przebywa w trójmieście). Współzałożycielami Związku byli m. in. Noga, Wyczyński, Brodnicki, Ziółkowski i nauczycielka Lange — przeważnie mieszkańcy Starogardu Gdańskiego i powiatu. Celem organizacji była opieka nad młodzieżą, zwłaszcza nad tą, która „eindeutschowana” na rozkaz i wcielana do Wehrmachtu, miała największe możliwości dywersji i sabotażu. Najbardziej aktywnymi członkami

organizacji byli: Zygmunt Buczkowski i Zygmunt Grochocki — (syn nauczyciela). Organizowali oni tajne harcerstwo na Kociewiu, działające w ramach ZWIĄZKU JASZCZURCZEGO

A. Gerigk

Buczkowski, ceniąc wysoko swój honor harcerski, nie podpisał podsuwanej mu przez Niemców listy niemieckiej i na czele 16-osobowej grupy młodzieżowej w roku 1942 przedarł się do tzw. Generalnej Guberni, gdzie przystąpił do SZARYCH SZEREGÓW. Został on wraz ze swoimi ludźmi wcielony do batalionu ZOSKA. Grupa kociewska brała udział w licznych akcjach sabotażowych i partyzanckich. Buczkowski zginął śmiercią bohatera w powstaniu warszawskim, jako dowódca karabinu maszynowego.

Zygmunt Grochocki, zgodnie z wytycznymi i poleceniami swojej organizacji, daje się „eindeutschować”, by w szeregach armii niemieckiej organizować sabotaż i dywersję. Zakłada na terenie Elbląga oddział ZWIĄZKU JASZCZURCZEGO na Prusy Wschodnie. Ginie na terenach Francji, rozstrzelany za działalność partyzancką. Całą winę przyjął na siebie, chroniąc w ten sposób swój batalion przed represjami.

Dewizą ZWIĄZKU JASZCZURCZEGO było: — „Idziemy tam, gdzie świeci szubienica”, czyli gdzie grozi największe niebez-

Za czasów „potopu”, kiedy po upadku całej Polski obroniła się Częstochowa i Lwów — podobną rolę spełnił i Puck, który był dwukrotnie i bezskutecznie szturmowany przez Szwedów od ładu i morza. Podobnie jak w Częstochowie przez Kordecki, tak w Pucku zasadniczą rolę w utrzymaniu miasta spełnił zakonnik, ojciec Grzegorz.

* * *

Za Zygmunta Wazy położono w Pucku podwaliny pod tzw. arsenalik wodny do budowy mniejszych okrętów wojennych. Zatrudniono Szkota, Jakuba Morrey, a po trzech latach spuszczone na wodę sześć jednostek. Były to trzymasztowce, budowane na wzór holenderskich „Orlogów”. Z kadłubów wyglądało po dwadzieścia dział. Kaszele na przedzie i tyle chroniły załogę, amunicję, broń i prowiant.

* * *

Za Władysława IV Puck stał się naturalnym portem Rzeczypospolitej. Król ten marzył o stworzeniu polskiej potęgi morskiej. Trzeba pamiętać, że mierzewa helska była wtedy archipelagiem wysp i okręty mogły swobodnie wpływać około Wielkiej Wsi do Zatoki Puckiej.

* * *

Oprócz floty morskiej, zamek pucki w stanie obronnym posiadał około 500 ludzi załogi złożonej z regularnego, lecz przeważnie cudzoziemskiego zaciągu wojennego. W skład załogi wchodziłi puszkarze i piechota. Za Władysława IV stały jeszcze silne oddziały żołnierzy polskich, posiadające między innymi 40 armat żelaznych, 2 kolubryny i 20 falkonetów.

* * *

Jakub Wejher, dziedzic Rucewa, późniejszy założyciel Wejherowa (które więc liczy sobie około 500 lat mniej niż Puck) sprawował funkcję starosty Pucka. Umocnił on port oraz zamek znajdujący się w obrębie dzisiejszych ulic: Zamkowej, Młyńskiej, Wałowej i Gdańskiej. Z murów zamku pozostały tylko ślady fundamentów.

oprac. Z.Z.

Z Życia ZRZESZENIA KASZUBSKIEGO

Wejherowo

Miejskie Koło ZK zorganizowało tzw. samorząd młodzieżowy, którego celem jest prowadzenie samokształcenia w zakresie wiedzy o regionalizmie kaszubskim oraz organizowanie imprez artystycznych — wieczorków literackich, pogadanek na temat historii Kaszub, oraz popularyzowanie wycieczek krajoznawczych. Zadaniem młodzieży będzie również zaopiekowanie się wejherowską „Paradnicą”, która winna stać się biletem wizytowym naszej organizacji.

W pierwszych dniach sierpnia rozpocznie się drugi turnus kursu haftu kaszubskiego. Wejherowskie hafciarki gorączkowo przygotowują się do wystawy, planowanej na początek września br., a więc jeszcze przed rozpoczęciem działalności organizowanego przez Oddział Uniwersytetu Powszechnego.

Zespół Imprez Artystycznych oddziału wystawił ostatnio „We-

sele kaszubskie“ („Hanka się zeni“), z którym po kilku występach w Wejherowie, wystąpiono także we Władysławowie, Rumii i Lęborku. Fragmenty przedstawienia nagrała ekipa Rozgłośni Gdańskiej Polskiego Radia.

W działalności organizacyjnej również należy zanotować pewne dalsze osiągnięcia: powstanie koła w Nadole. Trzeba podkreślić, że daje się zauważyć masowy wpływ młodzieży do Zrzeszenia. Jest to objaw tym bardziej go-

dny podkreślenia, że młodzież wstępuje do Zrzeszenia z własnego zainteresowania, bez jakiegokolwiek nacisku. Władze ZK będą musiały szczególnie zainteresować się tym zjawiskiem i stworzyć naszej młodzieży odpowiednie warunki do rozwijania jej zainteresowań.

Sprawą do załatwienia jest również znalezienie jakiejś formy prawnej dla tworzących się zespołów twórców sztuki ludowej.

Klemens Dere

Gdynia-Cisowa

Cisowskie Koło Zrzeszenia Kaszubskiego skupia swoją pracę na przygotowaniach do tradycyjnych dożynek oraz na remoncie Dworu Lipowego. Tegoroczne ob-

chody dożynekowe zakrojone będą na dużą skalę i przygotowanie ich wymaga nielada trudu. Oprócz prac organizacyjnych i porządkowych, młodzi Cisowiaczy zorganizowali jeszcze zespół taneczny pod kierunkiem p. Talkowskiego, który wystąpi 1 września.

Blizszych informacji w sprawie dożynek podawać nie będziemy. Będzie o wiele ciekawiej, gdy zobaczymy wszystko na miejscu 1-go września w Cisowej. A zapewniamy, że atrakcji będzie dużo. Gospodarzem dożynek będzie p. Rek, przewodniczący Prezydium MRN w Gdyni.

Dzięki staraniom członków Zrzeszenia, mimo braków funduszy, prace przy remoncie Dworu Lipowego posuwają się szybko naprzód. Ambicją Cisowiaków jest doprowadzić go do takiego stanu, aby już pierwszego września mógł przyjąć pierwszych gości.

Poszczególnej członkowie sami wykonują wiele poważnych robót. Przykładem mogą być Leon

Rainchart, który w wolnych chwilach pracuje przy smołowaniu dachu i Władysław Pranga, który obiecał sporządzić wentylację w głównej sali. Młodzież zadeklarowała swoją chęć do pracy w godzinach popołudniowych.

Aby zdobyć pieniądze na dalszy remont, cisowskie koło urzęduje sobotnie zabawy taneczne.

(ska)

Czersk

100 osób z czerskiego Oddziału Zrzeszenia Kaszubskiego będzie uczestniczyło w uroczysto-

ci odsłonięcia popiersia Derdowskiego we Wielu. W tym celu przygotowuje się kilka aut, które zabiorą również ludzi z pobliskich wsi: Mokre i Karsin.

W ramach tych uroczystości otwarta zostanie również wystawa kaszubskich wyrobów ludowych, na którą czerskie hafciarki przygotowują specjalnie piękną pracę.

Zespół Pieśni i Tańca „Kaszuby“ wystąpi z ciekawym, specjalnie na tę uroczystość przygotowanym programem. Warto zaznaczyć, że wszyscy członkowie zespołu należą do koła Zrzeszenia Kaszubskiego. (a)

Otomino

Wprawdzie Otomino administracyjnie nie stanowi odrębnej gromady (należy do Żukowa), jednak faktycznie biorąc jest to wieś odrębna. Mieszkańcy otomińskich „pustków” już od dawna wyrażali chęć wstąpienia do Z. K., ale odstraszała ich odległość od Żukowa (3 km). Postanowili więc założyć własne koło. Wkrótce po powstaniu koła w Żukowie, 15 Otomianian złożyło deklarację i pierwsze składki na ręce wielkiego entuzjasty naszej organizacji — Franciszka Zalewskiego.

Ostatnio inicjatywę mieszkańców Otomina poparł Oddział Z. K. w Kartuzach. Prezes Oddziału F. Marszałkowski przyrzekł, że w najbliższym czasie mieszkańcy Otomina będą mieli własne koło. (az)

Chojnice

Doceniając znaczenie ruchu turystyczno - krajoznawczego, Oddział Zrzeszenia Kaszubskiego w Chojnicach powołał do ży-

cia sekcję turystyczno - krajoznawczą, powierzając jej kierownictwo zrzeszonej młodzieży.

Ostatnio odbyły się pierwsze zebranie aktywności sekcji, na którym omówiono kierunki i metody pracy. Ożywcza dyskusja przy czyniła się do ustalenia wstępnego programu działalności sekcji. Jednym z głównych zadań sekcji będzie zapoznanie młodzieży przede wszystkim z własnym regionem i ewentualnie dalszymi, przez systematyczne uczestnictwo jej na zebraniach, na których wygłaszane będą odczyty i referaty krajoznawcze, historyczne itp., oraz przez organizowanie wycieczek należycie przygotowanych pod względem naukowym.

Przyczyni się to nie tylko do poznania przez młodzież własnego środowiska, w którym żyje, nie tylko pogłębi historyczny zakres wiadomości o swoim mieście i okolicy, ale wzbudzi uczucie miłości do swojej ziemi.

Postanowiono nawiązać ścisły kontakt z Powiatowym Oddziałem PTTK. Należy więc przypuszczać, że sekcja turystyczno - krajoznawcza przy Zrzeszeniu Kaszubskim w niedalekiej przyszłości skupiać będzie jeszcze więcej miłośników turystyki i krajoznawstwa.

ZBIGNIEW SIROMSKI

ZRZESZENIE KOCIEWSKIE

Lubichowo w powiecie starogardzkim jest jednym z największych ośrodków wiejskich Kociewia. Ma ono bogate tradycje kultury ludowej. W drugiej połowie XIX wieku działał tam ludowy garncarz Antoni Eisler, który nie tylko zadziwiał ludzi pięknymi wyrobami garncarskimi ale wychował też nowe pokolenie garncarzy. Znany jest również Alojzy Stawowy spod Lubichowa — rzeźbiarz, który w ub. roku otrzymał jednorazowe stypendium z ZSch, oraz Anastazja Lange — specjalistka wyrobów artystycznych ze słomy. Wśród lubichowian znajduje się wiele starych, zabytkowych już dziś sprzętów, jak na przykład stare skrzynie, żelazko do prasowania itp. Ludzie pieczołowicie przechowują te rzeczy.

Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Lubichowa z radością powitali decyzję założenia Koła Zrzeszenia Kociew-

skiego. Koło liczy obecnie kilkunastu członków. Na zebraniu konstytucyjnym przedyskutowano program pracy na najbliższą przyszłość. Członkowie zamierzają otoczyć opieką zabytki dawnego budownictwa ludowego oraz wyroby ludowe. Projektuje się również reaktywowanie dawnych zwyczajów ludowych.

Sprawą ważną będzie także zorganizowanie w Lubichowie kursu hafciarstwa kociewskiego. Warto, by zainteresował się tym Wojewódzki Dom Twórczości Ludowej, a także pani Zofia Jankowska ze Starogardu, która przed wojną była instruktorką hafciarstwa kociewskiego.

Plan pracy lubichowskiego koła przewiduje m. in. organizacyjne umocnienie miejscowego zespołu śpiewaczego oraz pomoc przy organizacji kursu przysposobienia rolniczego. Także sportowcy czekają na pomoc przy oparowaniu stadionu.

Warto też pomyśleć o budowie ośrodka wczasów letnich nad pobliskim jeziorem. Trzeba, by zainteresował się tym Zarząd Główny Zrzeszenia Kociewskiego i zwrócił uwagę właściwych władz na walory klimatyczno-krajoznawcze tej okolicy. Starogardzkie władze winny też dopomóc w znalezieniu odpowiedniego lokalu dla Muzeum Kociewskiego.

„KO”



Stanisław Katzer — Puck. Drzeworyt

Diabelski kamień koło Pelplina (Bajka)

W roku 1274 książę pomorski Mestwin II wybudował klasztor w Pelplinie. Miejscowość ta stała się potem siedzibą chełmińskiego biskupa.

Gdy klasztor wnoszono, diabeł usiłował temu przeszkodzić. Mimo to piękny kościół wybudowano. Chcąc go zniszczyć, mściwy Mefistofeles przywlókł ogromny kamień. Gdy doszedł z nim do kościoła, odezwał się dzwon wzywający wiernych na ranną mszę świętą. Rozwścieczony diabeł rzucił kamień i uciekł. Kamień wpadł do pobliskiej rzeki i leży tam do dziś.



Kartuzy — kościół poklasztorny

Foto: J. RYDZEWSKI

Franciszek Fenikowski

Gburzy z Gnieźdzewa

(fragment)

— Ciekawość — rzecz arcyludzka.
Na śledziu stoi znaczenie Pucka.
W morzu swym śledzie łowią pucczanie,
a my talary płacimy za nie.
Nie ma w Gnieźdzewie morza; stąd szkoda.
Lecz cóż jest morze? Wiadomo; woda.
A wodę mamy i w naszym stawie.
Gdy więc o bytu radzim poprawie
Słuchajcież mojej rady sąsiedzi;
Kupimy w Pucku beczułkę śledzi.
W staw nasz rzucimy solone ryby
i rok nie minie, a bez ochyby
będziemy jedli śledzie tak tanie,
że popękają w złości pucczanie.
Spuszczą swe nosy. Za łby się chwycą.
A my będziemy Kaszub stolicą.
Całe Kaszuby staną na głowie.
Chwalić nas będą w Lebie, w Bytowie,
W Rewie, Rzućewie, Wdzydzach, Rekowie
i Swornychgacach i Babim Dole.
Usłyszycie o nas wnet Stare Pole
i Nowa Karczma i Rozłazino,
Lebcz, Strzecz, Sobowidz, Przywidz, Kłanino.
W Kielnie i Chmielnie wieś ta zasłynie.
W Tupadłach, w Kacku, w Helu, w Kiełpinie,
A pono nawet i w Kościerzynie
wróble na dachu, płocie czy drzewie
ćwierkać o naszym będą Gnieźdzewie
i może sam nam Gdańsk pozazdrości.
— Czego? — spytacie. Ano, mądrości.



Rzeźba Apolinarego Pastwy z Wąglikowic

Foto: J. RYDZEWSKI

Rozwiązanie konkursu dla miłośników ludu i znawców regionu kaszubskiego

Do redakcji naszego pisma wpłynęło wiele odpowiedzi na „Konkurs dla miłośników ludu i znawców regionu kaszubskiego“.

Wszystkie z nich posiadały wymagane minimum, czyli rozwiązanie przynajmniej 4 zagadek. Dla zorientowania naszych uczestników, które z ich odpowiedzi były słuszne, podajemy właściwe rozwiązania:

1. kuczer
2. do szewca
3. cebula
4. spod chóru, z przedsiönka.
5. brzoza, bo jest siwa.
6. przed krawcem.
7. gazeta, radio.
8. własną brodę i wasy.
9. jest to niezgodne z prawdą historyczną. Król Herod morderował tylko chłopców.
10. nazwisko.

Wśród uczestników Konkursu rozlosowano nagrody. Szczęśliwcami, którzy je otrzymali, są: Kazimierz Grodziński Wejherowo, ul. Kopernika 15 — neseser podróżny. Edward Ferlin Lichnowy p-ta Augowice, pow. Chojnice — chińskie wieczne pióro.

Nagrody książkowe: Monika Knitter Katowice, ul. War



FRANCISZEK MEYER — RZEZBIARZ Z MIRACHOWA

...wykonuje piękne rzeźby w rogu, drzewie, a także w bursztynie. Jest to artysta ludowy wysokiej klasy, jego wyroby chętnie nabywają znawcy i miłośnicy sztuki ludowej

Foto: J. RYDZEWSKI

Staszków Jan

UPARTELC

Wieczór ustówól, reno spac szedł,
Kiej miód robic — w kórtę groł.
Chcót bë wierzbë na dół rosłe,
Zamiast golęc — włosë rwól.

W dzień to musiól lampę palęc,
Jakbë stracił biédók wid;
A kiej dostól z pocztë dëtki,
Przedtym w złości porwól kwit.

Jak miól gadac, gëbę zamknól,
Po wsi łaził piętą w przódk,
W zniwa nosił grëby kożëch,
W zëmie kopól swoj ogródk.

Książkę muszól z dołu czëtac,
Rëbe łowic strzelbą chcót,
W wóz zaprzągól konia głową,
Trówë sół kiej wiatr wiól.

Na dach wjachac chcót na drągu,
Tuki z niego był aż zgniël —
Mie sę jednak wëcag wëdowo,
Ze on zwól sę — upartëlc.



Franciszek Brzeziński z bazułą w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach

Foto: J. RYDZEWSKI

Naszë przigodë

Witôjtaż lëdze! Pôru dniów
tému przëjchól jem z Mos-
kwë z VI Światowego Festi-
walu Młodzëżë i Studentów.
Jo, to bëło po prôwdze wiól-
dzi swięto! Ciëj më z Cërzo-
nów Józkiem przëglądalë sę
paradze młodëch dzëwczët i
knópów ze wszëstëich stron
swiata, wëdowalë sę nama,
że nie może bëc pëszejzëgo
obrôzka.

Stojëlë më tédë i zdrzelë
za jidacëma młodëma lëdz-
ma. Bëlë wëstrzód nich i
Szwedowie, i Mniemcë, i co
nôważnijzë — Polocë. Józ-
k, chtëren jësz rëno wëpił pôre
cieliszczkô kaszëbscigo miôdë
(muszita wiedzec, że udalë sę
mu wëwëzëc z Gduńska jaz
dwie budle, a na granicë te-
go nikt nie zmërkowól), chcól
zaspiewac polscij delegacjë
„Sto lat...”, ale w gardle mu
le zacnripialë jak w stôrë,
zardzewialë szczëkôrce...

Pô skuńczoném wëchodzë
szlë më na Plac Czerwonu,
chdzë miôdë bëc tuńcë. Józ-
k, chtëren bialkë ostawił doma,
zaczył sę zarô obzërac za

dzëwczëtka. Jedną ju miól
prawie kole sę, ciëj narôz
ukôzól sę czôrni jak smôta
knöp. Józëk zabôczël o dzëw-
czëcu, bo wëdowalë sę mu, że
to muszi bëc jaciis purtk.
Przëzëgnól sę tédë chutko i z
wiôldzigo strachë zawôlól:

— Wicku, terô më jësmë
zgubioni!

Obezdrzól jem sę na Anto-
na, chtërnëmu tak sę bukse
trzasëlë, że nochëtniejzë bë z
nich wëskoczël i polecól
lëftëm do Gduńska. Ale zarô
muszól jem sę rozësmiôc, bo
czôrni pokôzól swojë biôlë zë-
bë i spëtól:

— Polish?

— Nie, cigaretów to jô nie
pôlë. lëno pipë — rzeklë jem
urëdowani, że me sę tak
chutko dogôdalë. Czôrni roz-
zësmiôł sę jak cëgón i pokle-
pól mnie po karku.

— Yes, yes...

— U ciebie je też pipa? —
zdzëwil jem sę. — Tédë le
pokôz, może më sę bëdzëmë
mieniãc...

Naji czôrni drëch pokrãcël
głowã, co miało wiëra zna-
czëc, że mieniãc sã nie chcë.
Terëzku më ju dëcht dëbrzë
së rozmiëlë. Dzëwôwól jem
so kãsk, że on po naszëmu
gôdal, ale po prôwdze bez
dwie nãdzële môgl së dosc
teli nauczëc.

Zaczył jem potëmu szukac
Józka, chtëren żdzinãł w cza-
së naji rozmôwë.

— Parala! Chdzë ten retaj-
jôsz może bëc! — medëtowól
jem glosno.

Nie bëło go letko nalëzc
wiôldzij kupiz lëdzi. Ale po
godzënie oboczël jem go jak
tuńcowól jaciis „rock and roll”
z dzëwczëcem w biôlë... nec-
në koszulë. Tak je! Nie më-
slijta, że to je wëceconi z pal-
ca. Dzëwczë bëło z Indji, a
tam za dnë

moja Aagata
wëszëdzë je innë
Bawilë më sę i
mëgo rëna. A no
nodzi nie chcólë ju ne
szlësmë na kwatere kãsk wë
poczac. zëbë za pôra godzëñ
wëlëzë na ulicë miasta po...
nowë przigodë.

WICK Z CHWARZNA

PROŠBA DO CZYTELNIKÓW

W 1939 roku w czasie działań wojennych, zaginął z mieszkania ks. Bernarda Sychty w Wejherowie, rękopis III aktowej sztuki „Buca śpiących”. Sztuka ta napisana została na kilka dni przed wybuchem wojny i była cenną pozycją w literackim dorobku Ks. Sychty.

O ile ktoś z czytelników posiada fragmenty tego dramatu, lub wie gdzie mogą być, uprzejmie prosimy o niezwłoczne poinformowanie o tym redakcji.

Dotądë KASZEBSCIJ OBËCZAJNOŃCË

NIEPEWNY Z CII.: „W Zarządzie naszego G.S-su pracuje dziewczyna, która mnie od pewnego czasu interesuje. Nie znamy się osobiście, więc nie wiem, czy wypada mówić jej „dzień dobry” na ulicy. Może tym zwrócę uwagę na siebie”.

— Zdaje się, że jest pan nie tylko „niepewny”, ale i nieśmiały. A tego trzeba się wyzdobyć, szczególnie w wieku, kiedy panienki zaczynają już interesować. Trochę odwagi — „dzień dobry” wypada zawsze powiedzieć, nawet mało znanej osobie, która jest nam obojętna, (coż dopiero takiej, na której widok robi nam się w sercu ciepło). Do pozdrowienia można dodać uśmiech, znaczące spojrzenie. Może poskutkuje.

MARTA Z LĘBORKA: „Czy kobieta może dać mężczyźnie kwiaty na imieniny. Słyszałam, że to nie wypada?”.

— Zależy. Jeżeli mężczyzna jest w starszym wieku, w dodatku naszym przełożonym, lub krewnym, wtedy można. W innym wypadku powinno być na odwrót. Przecież stare przysłowie mówi „kwiatek dla kwiatka”, czyli dla kobiety.

MANKUT Z GDYNI: „Jestem mankutom. Mogę posługiwać się również prawą ręką, ale niezbyt zgrabnie. Cóż zrobić w towarzystwie, a zwłaszcza przy stole?”.

— Przede wszystkim nie krępować się. Jeżeli zgrabnie posługuje się pan lewą ręką, to można tak robić nawet na prostym obiedzie. Lepiej odstąpić od reguły, aniżeli popęlić gaję, w rodzaju upuszczenia ciastka z kremem na kolana partnerki.

GOLA

KASZEBE

Wydawnictwo Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubskiego w Gdańsku

Redaguje zespół w składzie: Tadeusz Bolduan (red. nacz.), Irena Piotrowska i Jan Kiedrowski (sekretarz red.).

Adres redakcji: Gdańsk-Oliwa, ul. Grunwaldzka 516.

Tel. 938

Nakład — 10.000 egz.

Druk — Gdańskie Zakłady Graficzne Nr zam. 1660. W-11. Papier offset. kl. VII.